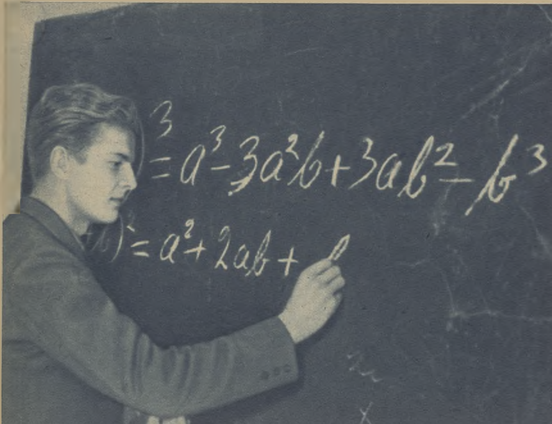
Świat Młodych

Nr 2 - październik - 1946

Cena 10 zł



Foto - Pirotte



Kursa przygotowawcze do wyższych uczelni w Warszawie. Kol. Edward Górski jest pracownikiem „Społem". Należy do ZNMS-u. Chce studiować ekonomię

ZDOBYWAMY WIEDZĘ

Rozpoczęliśmy nowy rok szkolny. Pierwsze powakacyjne dni w szkole zawsze wbijają się jakoś głębiej w pamięć — są ciekawe i wzruszające. Działa na wyobraźnię zarówno biel świeżo pomalowanych sal szkolnych, jak i biel zeszytowych kartek, które zapiszemy nową treścią. Treść ta będzie „mądrzejsza" niż w roku poprzednim i z każdym dniem wciąż inna — głębsza, bardziej dojrzała. Z każdym dniem będziemy krzepnąć i dojrzewać...

Starsze pokolenie mówi wprawdzie — czemu często pochopnie i skwapliwie przytakujemy — że młodzież dzisiejsza w trudnych warunkach okupacji i tak już dojrzała, zdobywała bowiem środki utrzymania na równi ze starszymi i na te same narażona była niebezpieczeństwa. Nie spisać sposobów, jakimi zdobywaliśmy środki egzystencji. Przeważnie były one szkodliwe dla Niemców i to nas rozgrzeszało. Ale gdybyśmy stosowali je dziś, popełnialibyśmy przestępstwo wobec samych siebie. Nie zawsze dokładnie zdajemy sobie z tego sprawę i to jest dziś naszą niedojrzałością.

Przychodzi nam z pomocą szkoła, której nie mieliśmy w czasie okupacji. A szkół tych jest wiele, więcej niż przed wojną i uczy się w nich o wiele więcej niż przed wojną młodzieży. Nowe państwo uczyniło już z przedwojennego miliona dzieci bez szkół bezpowrotną legendę. W wyższych uczelniach studiuje obecnie — w stosunku do czasów przedwojennych i liczby ludności w kraju — o 70% więcej młodzieży. W osiągnięciu tej imponującej cyfry nie stanęły na przeszkodzie ani ruiny, ani śmierć dziesiątków tysię-



W drugiej klasie Gimnazjum Mechanicznego im. St. Konarskiego w Warszawie



Kol. Janina Sobczak — pracowniczka Rady Zw. Zawodowych



Kursa przygotowawcze. Fragment sali II.a podczas wykładu



Kursa przygotowawcze. Odrabianie lekcji w świetlicy ośrodka kulturalno-oświatowego ZWM w Warszawie

cy nauczycieli w niemieckch obozach. I nic nie powstrzyma naszego pędu do nauki.

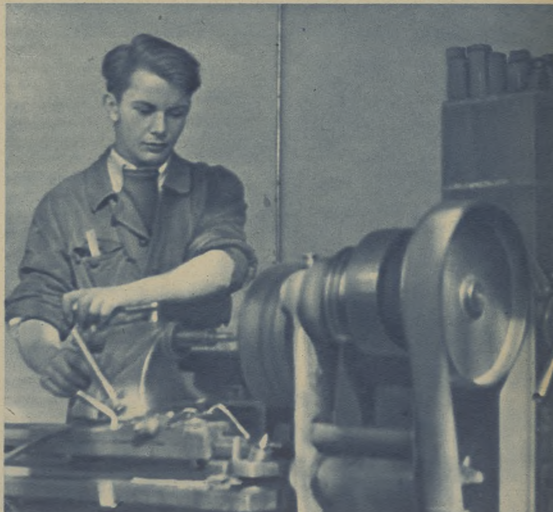
Wielu nas przyszło do szkoły po kilkuletniej przerwie w nauce. Niejeden z nas przeszedł obóz lub walczył w szeregach partyzanckich. Często nawet w niższych klasach gimnazjum spotyka się uczniów w wieku około 20-stki, z szramami po ranach odniesionych na polu bitwy. Walczyli o życie — swoje i narodu skazanego przez okupanta na śmierć. Walczyli o Polskę, dla której mogą dzisiaj żyć, uczyć się i pracować. Żołnierskie tornistry zamienione zostały teczkami uczniowskimi. Przysłowioną „buławę marszałkowską" w żołnierskim tornistrze zamieniła rzecz realna i konkretna: możność takiego ułożenia sobie przyszłości, na jakie starczy sił, zdolności i tchu.

Wielkie szanse na zdobycie wiedzy otwierają się przed nami i wielu wykształconych ludzi potrzebuje nasz kraj na każdym odcinku życia. To też i wiedza nasza musi być solidna i głęboka. Nie dają nam jej bowiem po to abyśmy „błyszczeli uczonością" i z góry spoglądali na ludzi mniej wykształconych od nas. Czasy wykształconych nierobów należą do przeszłości. Nigdy zresztą młodzież robotnicza i chłopska, wyrosła w ciężkich warunkach materialnych, nie miała takiego stosunku do nauki. Wiedzę zdobywamy po to, byśmy ją mogli stosować w pracy dla społeczeństwa. To też uczmy się zawczasu form społecznego współżycia. Zapoznajmy się już na ławie szkolnej z bezprzykładnym, robotniczym wysiłkiem budowniczych naszych miast i wsi, fabryk i portów.

Niewiele wart jest człowiek, który nie wie co dzieje się we własnym kraju. A dzieją się rzeczy epokowe. Tempo budownictwa naszego kraju nie zna równego sobie w historii naszego narodu. Rozmach, z jakim młode państwo pokonuje trudności, budzi podziw i szacunek daleko poza granicami. I przez pracę tylko szacunek ów oraz znaczenie w świecie zdobywamy. W przeciwnym wypadku zdystansują nas inni — marzycielstwo i oglądanie się wstecz prowadzi do zguby.

Naszą pracą jest kształcenie się. Forum naszej działalności społecznej jest samorząd szkolny i organizacje młodzieżowe. W nich kształcimy swój charakter i wzbogacamy walory osobiste. Lecz nie zapominajmy, że naszym najważniejszym walorem i siłą będzie gruntowne opanowanie wiedzy. Nigdy nic nie osiągniemy samą tylko szlachetnością zamierzeń — lepszą przyszłość dla siebie i narodu zdobędziemy wysiłkiem doskonale wyćwiczonego i bogatego w wiedzę intelektu.

Oto przyszły technik. Zajęcia praktyczne w klasie IV Gimnazjum Mechanicznego im. St. Konarskiego





Miejskie Gimnazjum Mechaniczne. Sala obróbki [illegible]



Zajęcia praktyczne w kuźni Gimnazjum Mechanicznego im. St. Konarskiego. Uczniowie sami remontują dla swoich warsztatów szkolnych maszyny wyciągnięte spod gruzów





Gmach Akademii Nauk Politycznych w Warszawie, w którym tymczasowo mieści się Gimnazjum Mechaniczne im. St. Konarskiego



Po trudach nauki — rozrywka na wolnym powietrzu

Przygotowanie kutrów do zimy — trzeba je wyremontować i polakierować



BUDUJEMY POLSKI SZCZECIN

Kilka miesięcy temu do portu szczecińskiego zawinął pierwszy statek morski.

Kilka tygodni temu Zarząd Żeglugi na Odrze doniósł o załadowaniu węglem statku polskie-



Remontowanie kutrów. Jeszcze niedawno najwygodniej pracowało się w kąpielówkach

Ob. Kotek przy pracy



go. Węgiel ten z portu szczecińskiego pójdzie dalej w świat.

Jest to zasługą polskiego technika i inżyniera.

W Szczecinie jest życie polskie w pełni swoich przejawów. Jest i młodzież polska, która ofiarnie pracuje i uczy się.

Oto w porcie szczecińskim wydobyto z morza wiele kutrów, zatopionych przez cofające się wojska hitlerowskie. Są przeważnie uszkodzone. Gdyby pozostawić je nadal w obecnym stanie — zbliżająca się zima dokonałaby reszty zniszczeń — kutry stałyby się nie do użytku.

Posłuchajmy co powiadają członkowie szczecińskiego jachtklubu „Zryw", którzy podjęli inicjatywę zabezpieczenia kutrów na zimę:

„Kutry te uchroniliśmy od zupełnej zagłady. Dawni właściciele tych kutrów wycofując się — wiele zatopili. Pozostałe „usłużni" sąsiedzi — Niemcy zaczęli rąbać na opał. Przybycie naszych kolegów położyło kres tej gospodarce. Podniesiono już 3 statki z dna. Jachty pełnomorskie są obecnie w remoncie i jeszcze tego roku będą pływały. 19 jednostek jest zabezpieczonych przed zimą. Kierownik kol. Kaszewski wraz z sześcioma kolegami pracują od rana do nocy."

Od rana do nocy pracuje cały polski Szczecin. I mielibyśmy komukolwiek oddać to odwiecznie polskie, odbudowane przez nas miasto?



W porcie szczecińskim. Praca przy odnawianiu kutrów do przyszłych wiosennych połowów



Wydobywanie zatopionego kutra

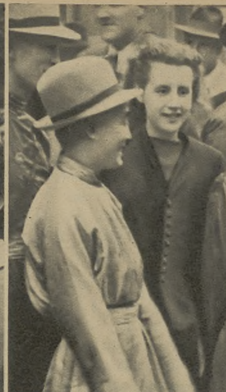


Kuter wyciągnięty na brzeg wędruje do stoczni. Wprawdzie nie sam — trzeba z całej siły ciągnąć.

Foto — Jerzy Jaraczewski



Na Kongres przybyli studenci z przeszło 30 państw świata. Byli więc i przedstawiciele dalekich Chin — reprezentowany był także narodowy folklor Dalekiego Wschodu.



CONGRESSUS
1946
PRAHA-ČSR

Międzynarodowy Kongres Studentów w Pradze



W tym gmachu obradował Kongres



„Oficjalnym” tańcem Kongresu stał się ludowy taniec jugosłowiański „koło”



O pokój i lepsze jutro świata

Wielki zjazd międzynarodowy młodzieży akademickiej, który odbył się w dniach 18—31. 8. br. w Pradze był oficjalnie nazwany Światowym Kongresem Studentów. Nieoficjalnie nazywano go studencką „Wieżą Babel" — i to określenie było bardzo trafne.

Wyobraźmy sobie zgromadzenie studenterii z całego świata — z górą 300 delegatów z ponad 38 państw. Była to istna mozaika języków, ras i odrębności narodowych. Żółtoskóry i skośnooki Chińczyk obok powolnego, jasnowłosego Szweda, czarnowłosi, smagli, ruchliwi Włosi i Francuzi, rozmawiający z egzotycznymi Hindusami, Meksykanie w charakterystycznych „sombrerach", żywe jak iskry Meksykanki o kreolskim typie urody, Murzyni, błyskający w przyjaznym uśmiechu białymi zębami, Szkoci w swoich kraciastych spódniczkach — Anglicy, Amerykanie, Rosjanie, Hiszpanie, Szwajcarzy, Węgrzy, Jugosłowianie, Czesi, Bułgarzy, Austriacy, przedstawiciele Brazylii, Kuby, Jamajki, Gwatemali — oto wielojęzyczna, ruchliwa i gwarna rzesza, która tłumnie wypełniła salę obrad i pokoje mieszkalne w wielkim domu akademickim pod nazwą „Masarykova Studentska Kolej".

Z Polski przybyła na kongres 15-osobowa delegacja młodzieży studenckiej, reprezentująca wszystkie organizacje akademickie (AZWM „Życie", ZNMS, sekcję akademicką „Wici", ZMD oraz „Bratniaki" wyższych uczelni). W skład delegacji wchodził również przedstawiciel Ministerstwa Oświaty. Kierownikiem delegacji był przewodniczący Zarządu Głównego Akademickiego Związku Walki Młodych „Życie" — Zenon Wróblewski.

Rozpoczęcie obrad miało charakter niezwykle uroczysty. W wielkiej sali praskiego „Domu Artystów", inaczej zwanego „Rudolfinum", zgromadzili się w dniu 16. 8. br. wszyscy delegaci oraz licznie zaproszeni goście. Za stołem prezydialnym zasiedli przedstawiciele najwyższych władz państwowych czeskich oraz nauki czeskiej i reprezentanci szeregu narodów, których delegacje przybyły na Kongres. We wszystkich przemówieniach, w licznych telegramach powitalnych przewijała się jedna myśl i jedno życzenie: owocnej pracy Kongresu na drodze do ugruntowania pokoju i lepszego jutra świata.

Po tych wstępnych uroczystościach nastąpił szereg pracowitych dni. Co dzień odbywały się wielogodzinne obrady bądź na sesjach plenarnych, gromadzących wszystkich delegatów, bądź na zebraniach komisji, które można było podzielić na 3 grupy (oprócz komisji statutowej): komisje ideologiczne (omawiające zagadnienie walki z faszyzmem i usunięcie jego pozostałości z wyższych uczelni, udział młodzieży w pracy nad utrwaleniem pokoju i lepszego jutra świata), ogólne (współpraca intelektualna młodzieży akademickiej, sprawa pomocy studentom, zagadnienie warunków bytu i pracy studentów, udział młodzieży akademickiej w pracy nad odbudową, wymiana studentów i podróże, prasa i publikacje studenckie, sport) oraz komisje wydziałowe omawiające zagadnienia, związane ze współpracą intelektualną studentów na polu poszczególnych gałęzi wiedzy (medycyna, inżynieria, architektura, prawo, humanistyka, sztuka).

Delegacja polska była jedną z ruchliwszych i aktywniejszych na terenie Kongresu — czy to podczas obrad i konferencji, w które reprezentanci polskiej młodzieży akademickiej wnieśli poważny wkład wniosków i planów — czy to na mniej oficjalnym, ale bardzo istotnym polu propagandy polskiej przez głoszenie prawdy o Polsce i nawiązywanie kontaktów z młodzieżą wszystkich krajów.

Końcowym akordem Kongresu było uroczyste utworzenie Światowego Związku Studentów (International Union of Students), jako organizacji autonomicznej w ramach Światowej Federacji Młodzieży Demokratycznej. W skład Rady Związku weszło 4 przedstawicieli młodzieży polskiej: Zenon Wróblewski (AZWM „Życie"), Andrzej Wojnar (ZNMS), Antoni Leszczyk („Wici"), Włodzimierz Surewicz („Bratnia Pomoc" Stud. Uniw. Łódzkiego). Do Komitetu Wykonawczego Rady wszedł kol. Zenon Wróblewski.

Mimo wytężonej pracy codziennej — Kongres miał liczne chwile, w których świeciła się prawdziwie studencka, młoda i beztroska radość. Napewno wszyscy jego uczestnicy będą długo pamiętać maskaradę, kiedy to przez ulice Pragi wędrowała studencka brać w najfantastyczniejszych kostiumach, witana hucznymi okrzykami „Na zdar" i brawami rozradowanych tłumów.

Dwa tygodnie kongresu studenckiego minęły szybko, ale nie przeszły bez śladu. Młodzież całego świata, zgromadzona w studenckiej „Wieży Babel" wróciła do swoich krajów, aby dalej prowadzić piękną pracę przyjaźni i zbliżenia międzynarodowego — aby wspólnie pracować nad wielkim dziełem budowania pokoju i lepszego jutra świata.

Kazimiera Jeżachlewicz



Delegacja polska przy pracy. Trzeci od lewej strony — kol. Zenon Wróblewski

Dlaczego

„International Union of Students" a nie „Confederation Internationale des Etudiant's"?

Chyba nikt nie wątpił, że młodzież akademicka, pozbawiona przez sześć lat jakichkolwiek kontaktów między sobą zechce utworzyć międzynarodową organizację studencką.

Możność zwiedzania każdego kraju, wycieczki do najcudowniejszych zakątków świata, udział w akademickich igrzyskach sportowych, wymiana książek i wydawnictw ilustracyjnych, wzajemne dyskusje na międzynarodowych zjazdach nad problemami, którymi żyje młodzież akademicka — oto są wystarczające powody aby powstała międzynarodowa organizacja studentów. Tak wydaje się tylko na pozór, albowiem przyczyny, które spowodowały utworzenie międzynarodowej organizacji studenckiej, były o wiele poważniejsze.

Zdobycze te młodzież akademicka osiągnęła w większym lub mniejszym stopniu poprzez istniejącą przed wojną C. I. E. (Confederation Internationale des Etudiant's).

Ale CIE upadła, gdyż będąc tylko urzędową agencją podróży i oficjalną organizatorką wymiany publikacji i korespondencji, nigdy nie próbowała rozwiązywania poważniejszych problemów studenckich, czy to w poszczególnych krajach, czy w skali międzynarodowej.

CIE upadła, gdyż będąc organizacją studencką, która miała na celu jedynie dostarczenie studentom rozrywki, zamykała oczy na socjalne i polityczne prądy, nurtujące młodzież akademicką.

CIE upadła, bo nie potrafiła wystąpić jako aktywna siła przeciw ograniczeniom praw ze względu na język, narodowość, rasę, kolor skóry, stan majątkowy, wierzenie religijne i przekonania polityczne, przeciw wojnie, przeciw barbarzyństwom faszyzmu.

I dlatego młodzież akademicka, zebrana na światowym Kongresie Akademickim w Pradze, nawet przez chwilę nie pomyślała o reaktywowaniu CIE lub utworzeniu nowej organizacji, opartej na tych samych zasadach.

Młodzież akademicka całego świata, a zwłaszcza ta, która przeżyła straszliwy okres faszystowskiej okupacji, i ta, która nie zaznała niewoli, składała ofiary wojnie, rozpętanej przez siły wsteczne, i ta wreszcie, do której tylko z daleka dochodziły odgłosy zawieruchy wojennej — zrozumiała, że nowopowstały I. U. S. (International Union of Students) musi oprzeć na zupełnie innych, nowych zasadach.

Młodzież akademicka zrozumiała, że na sytuację studenta, jak i każdego innego członka społeczeństwa, oddziaływują stosunki ekonomiczne i polityczne, panujące w jego własnym kraju i dlatego międzynarodowa organizacja studencka winna wpływać na kształtowanie się tych stosunków i zająć się obroną interesów młodzieży akademickiej.

Młodzież akademicka zrozumiała, że student, jak i każdy członek społeczeństwa, musi wziąć czynny udział w politycznym, społecznym, gospodarczym i kulturalnym życiu swego kraju.

Młodzież akademicką zrozumiała, że tak, jak w okresie wojny do osiągnięcia zwycięstwa konieczna była jej jedność z całą młodzieżą i całym narodem — jedności tej i dziś wymagają wielkie zadania odbudowy świata.

I dlatego delegaci ponad 30 państw, reprezentujący Narodowe (Ogólnokrajowe) Związki Studenckie, organizacje uniwersyteckie, wydziałowe, religijne, sportowe, ideowo-wychowawcze i polityczne, skupiające razem ponad 2 i pół miliona zorganizowanych studentów, podpisywali statut z wiarą, że stworzyli I. U. S., oparty na właściwych podstawach. Oto jego wyjątki:

„Międzynarodowy Związek Studentów, stworzony przez przedstawicieli akademickich organizacji różnych krajów, bronić będzie praw i interesów młodzieży studiującej i działać w kierunku podwyższenia dobrobytu i poziomu jej wykształcenia w celu obywatelskiego przygotowania jej do demokratycznej działalności.

Międzynarodowy Związek Studentów pragnie jedności wszystkich postępowych i demokratycznych sił w społeczeństwach, których działalność oparta jest na zasadach Organizacji Narodów Zjednoczonych. Zasady te są koniecznym warunkiem konsolidacji trwałego i sprawiedliwego pokoju i równości wszystkich ludzi".

Zenon Wróblewski
Członek Komitetu Wykonawczego
Międzynarodowego Związku Studentów



Oto najsławniejsi mówcy w dziejach ludzkości



Rzymski mówca Cyceron, obrońca demokracji



Mr. Smith z Hydeparku, zwolennik szarego człowieka



Churchill w Fulton (USA) rzecznik trzeciej wojny światowej

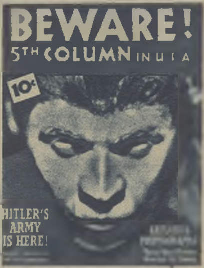


Byrnes w Stuttgarcie, przyjaciel Niemiec

O czym zapomniały już USA p. Byrnesa?



O bitwie nad Ameryką, która groziła im w czasie wojny



O 5-tej kolumnie niemieckiej, która paraliżowała przemysł amerykański



Irma Greese, osławiona dozorczyni z Bergen-Belsen

O obozie koncentracyjnym Bergen-Belsen, o którym pamiętał Roosevelt

Nazi PWs (Prisoners of war, hitlerowscy jeńcy wojenni) studiują na wydziale demokracji w USA. 300.000 niemieckich jeńców w kilka miesięcy po zakończeniu wojny wróciło z USA do vaterlandu jako skończeni demokraci i dyplomowani antyhitlerowcy







Oto specjalnie „uzdolniony politycznie" (tak piszą Amerykanie) jeniec wygłasza wzorem Hitlera mowę do swoich towarzyszy. Amerykanie przysłuchują się... Czy nauczą się — hitleryzmu?

„Demokracja jest nie tylko systemem rządowym, lecz także formą życia". Prawie 80% dnia spędzają jeńcy wojenni w kantynie obozowej...

„Nikt nie zmieni pieszczotliwym głaskaniem tygrysa w kotka" — powiedział Roosevelt. Zwłaszcza tygrysa niemieckiego...

PO CZTERECH MIESIĄCACH EDUKACJI MŁODOCIANI JEŃCY NIEMIECCY „WYRZEKAJĄ SIĘ" HITLERA



„Racz nam dać pokój" — śpiewają Niemcy po najkrwawszej wojnie, którą wywołali...



W roku 1944



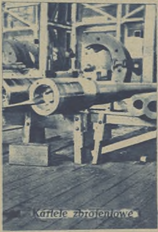
A oto ich rodzice. „Z największą uwagą przysłuchują się wywodom komisji weryfikacyjnej, oczekując na swoją kolej. Będą się usprawiedliwiać, dlaczego wstąpili do partii...



=



+



+



P. Byrnes wygłosił w Stuttgarcie przemówienie, które sprowadza się do jednego zdania: chcemy odbudować potężne, wielkie Niemcy.

Wszystkie komplementy, których nie szczędził p. Byrnes pod adresem narodu, niosącego przez sześć lat śmierć i ucisk całej Europie, mają jeden sens: reakcja amerykańska szuka najemników do walki z ruchami demokratycznymi w świecie i widzi kandydata na takiego najemnika w narodzie Himmlera, Hitlera i Goeringa.



„Premier" Hessji, Dr K. Geiler

LONDYN, 7. 9. Agencja Reutera donosi ze Stuttgartu, że:

Dr Karol Geiler, „premier" Hessji (w strefie okupacji amerykańskiej) wraz z obu innymi „premierami" niemieckimi w strefie amerykańskiej odbył krótką rozmowę z min. Byrnesem przed wygłoszeniem przemówienia ministra amerykańskiego.

•

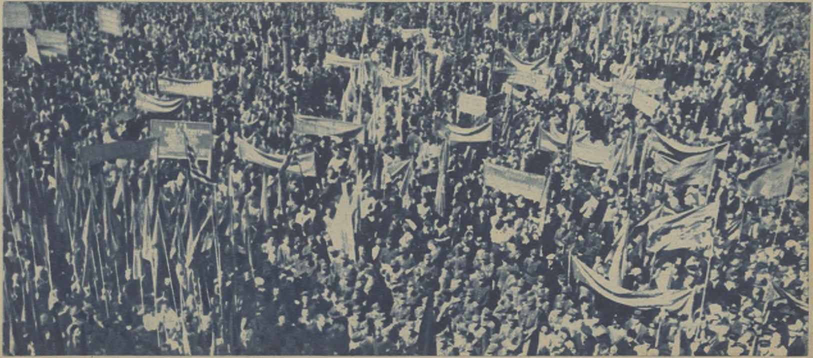
Mowa min. Byrnesa ożywiła nadzieje reakcji, spekulującej na trzecią wojnę. Zrozumiała więc jest radość Mr. Browna, skromnego udziałowca koncernu zbrojeniowego. Cieszy się również z mowy Byrnesa obszarnik hr. Bór-Komorowski i nowoczesny kondotier gen. Anders







Wojny nie będzie • Narody świata nienawidzą wojny



P. Byrnes dostarczył znakomitej ilustracji do tezy, że WSZELKA REAKCJA, WSZELKIE WSTECZNICTWO W ŚWIECIE MUSI W DZISIEJSZEJ SYTUACJI BYĆ PRONIEMIECKIE, MUSI ORIENTOWAĆ SIĘ NA ODRODZENIE NIEMIECKIEJ ZABORCZOŚCI.

W swych zalotach do Niemców, w swej trosce o niemieckie interesy p. Byrnes nie mógł, rzecz jasna, pominąć również sprawy naszych granic zachodnich. W umyślnie niejasnych zdaniach p. Byrnes spróbował podważyć nasz stan posiadania na zachodzie, dał Niemcom do zrozumienia, że gotów jest poprzeć ich pretensje wobec Polski.

Naród polski zwarcie przeciwstawił się mowie Byrnesa



Ob. Gomułka-Wiesław na wielkim wiecu protestacyjnym w „Romie" powiedział:

Umowa poczdamska trzech mocarstw głosi że „militaryzm i narodowy socjalizm niemiecki będą wyrwane z korzeniami i sprzymierzeńcy, za wspólnym porozumieniem, podejmą obecnie i w przyszłości inne niezbędne zarządzenia, żeby osiągnąć pewność, że Niemcy już nigdy więcej nie staną się groźbą dla swych sąsiadów, albo dla pokoju świata".

Wydawałoby się to dziwne, że argument pokoju dla obalenia uchwały konferencji poczdamskiej podnoszony był najgłośniej przez tych, którzy przez całe swoje życie zajmowali się głównie organizowaniem wojen i konfliktów między narodami świata.

Naród polski może nieraz być niejednolity, gdy idzie o różne jego sprawy wewnętrzne, ale — poza drobną grupką zdrajców narodowych i agentów obcego wywiadu — zajmuje jednolite i niewzruszone stanowisko w sprawie swoich granic zachodnich.

Naród polski wyciągnie z tego przemówienia należyte wnioski.

Pierwszym z tych wniosków musi być jeszcze mocniejsze oparcie Polski o szczerych i prawdziwych przyjaciół. Do takich należy przede wszystkim Związek Radziecki na czele z Generalissimusem Stalinem.

Drugim z tych wniosków musi być zbudowanie frontu narodowego bez zdrajców faszystowskich i bez agentów, reprezentujących w Polsce obce interesy różnych opiekunów i obrońców Niemiec.

Można ich rozpoznać, stosując przysłowie: — „Powiedz mi kto jest twoim przyjacielem, a powiem ci kim jesteś". Polak — patriota, kim by on nie był i jakie by nie posiadał przekonania polityczne nie może być przyjacielem tych, którzy wrogo odnoszą się do naszych granic zachodnich.

Trzecim z tych wniosków musi być umocnienie władzy demokratycznej w odrodzonej Polsce i wytężona praca całego narodu dla zwiększenia siły Polski. Pamiętajmy, że najbardziej się ceni i najchętniej się pomaga tym, którzy sami sobie pomóc umieją.



Pakt polsko-rosyjski



Pakt polsko- jugosłowiański



Sowiecki arsenał. Fabryka broni na Uralu

Pokój będzie zachowany

Prawda i sprawiedliwość. Któż z nas, ludzi młodych i nie pozbawionych cechy entuzjazmowania się rzeczami szlachetnymi i wzniosłymi, nie pragnie ich panowania?

Jeżeli istnieje jakieś ale, to tylko jedno: nie zawsze możemy określić bez wahania co jest prawdą i sprawiedliwością, a co fałszem i nieprawością. Są jednak rzeczy prawdziwe bezsprzecznie — jednakowo rozumiane przez wszystkich dla których $2 + 2 = 4$.

O tych rzeczach prawdziwych bezsprzecznie, a raczej o kilku konkretnych faktach mowa będzie poniżej.

Jednym z tych faktów jest stuttgarckie wystąpienie Byrnesa, w którym ów amerykański minister zakwestionował nasze prawa do Ziem Zachodnich oraz opowiedział się za odbudową wielkich i silnych Niemiec.

Fakt drugi: — W procesie norymberskim uniewinniono trzech zbrodniarzy: Schachta, Pappena i Fritschego. Przewodniczącym Najwyższego Trybunału był angielski sędzia Lawrence. Wyrok ów wywołał oburzenie całego świata. Nawet niefaszystowskie partie polityczne w Niemczech zwołały wiece protestacyjne przeciw uniewinnieniu trzech zbrodniarzy i zbyt łagodnemu wyrokowi na kilku pozostałych.

Fakt trzeci: — Wkrótce po przemówieniu Byrnesa, radziecki minister spraw zagranicznych Mołotow udzielił wywiadu przedstawicielowi Polskiej Agencji Prasowej w Paryżu na temat naszych granic zachodnich. Zdaniem przedstawiciela rządu radzieckiego granice te są ostateczne i nie podlegające żadnej rewizji. Przecież określiła je już konferencja berlińska, pod uchwałami której widnieją podpisy szefów rządów trzech mocarstw — Ameryki, Anglii i Związku Radzieckiego.

Podobne oświadczenia złożyli szefowie rządów Jugosławii i Czechosłowacji, a cała prasa słowiańska nazwała nasze granice na Odrze i Nisie granicami całej słowiańszczyzny.

Właściwie, w świetle tych faktów zbędne jest poszukiwanie prawdy i sprawiedliwości. Widzimy doskonale jaki jest stan faktyczny i kto popełnia nieprawości a kto walczy o sprawiedliwość; kto jest naszym przyjacielem i jakim przyjacielem.

A dlaczego jest właśnie tak, dlaczego właśnie anglosaski Zachód podkreślający stale swoją demokratyczność i sprawiedliwość, czyni obecnie akty nie zawsze zgodne z naszym sumieniem i z sumieniem ludów świata?

Jakaż jest więc ta „sprawiedliwość" zgodnie z którą uniewinnia się największych zbrodniarzy ludzkości i kwestionuje się nasze prawa do ziem, których pozbawiło nas wiekowe bezprawie, poparte grabieżą i mordem?

•

Ameryka, najpotężniejsze państwo Zachodu, jest dla nas nie tylko jednym z krajów — jest oddzielnym pojęciem. Kiedy mówimy o jakimś nadzwyczajnym tempie lub rozmachu, dodajemy przymiotnik — „iście amerykańskie". Szczyt bogactwa — to fortuny amerykańskich milionerów. Szczyt dziwactw i cuda techniki — również nasuwają nam skojarzenia z Ameryką. O Ameryce wiemy o wiele więcej niż o jakimkolwiek innym kraju, więcej niż Amerykanie o nas. I znamy też o wiele lepiej Niemców niż Amerykanie.

Jedną z ulubionych książek każdego chłopca polskiego jest książka amerykańskiego pisarza pt. „Chata wuja Toma" — książka o niedoli murzyńskich niewolników. Wiemy też, że po formalnym zniesieniu niewolnictwa w Ameryce — do murzynów nadal stosuje się barbarzyńskie, rasistowskie (jak w hitlerowskich Niemczech) prawa.

Wiemy, że emigranci polscy nie znający języka angielskiego nazywani są przez Amerykan słowem „Polaken". Słowo to przyjęło się w tym demokratycznym kraju jako określenie wzgardliwe i poniżające.

Po polskich szosach jeżdżą samochody otrzymane przez nas z „demobilu" amerykańskiego. Jest ich wiele i są solidnie wykonane. Radość w polskich domach sprawiają amerykańskie paczki UNRRA. O tak — Ameryka jest bogata. Produkcja fabryk amerykańskich jest ogromna i standart życiowy w Ameryce wysoki. Lecz ponad 50% bogactw koncentruje się w rękach 200 firm. I wpływy kapitału tych firm sięgają daleko za oceany. Widać je w Chinach, widać i w krajach europejskich. 45% bogactw świata należy do Ameryki.

200 takich firm to potęga, lecz jeszcze nie Ameryka, bo jest jeszcze potęga inna w imieniu której nie przemawiał Byrnes, lecz która sama najwymowniej przemawia szeroką falą strajków spowodowanych wyzyskiem i protestów przeciw polityce „bomby atomowej". Tą potęgą jest naród amerykański.

O wolność Ameryki walczyli swego czasu nasi bohaterowie narodowi — Kościuszko i Pułaski. W wielu miastach stoją ich pomniki wystawione przez wdzięczny lud amerykański.

Dzisiaj w imperialistycznych kołach amerykańskich podejmowany jest z honorami nasz — nie bohater — lecz zdrajca Bór-Komorowski. Wzgardliwe słowo „Polaken" nie dotyczy Bora, gdyż nie jest on emigrantem-chłopem — jest hrabią z Komorowa.

Podczas wojny samoloty aliantów bombardowały niemieckie miasta i fabryki, lecz nie bombardowały, jednak wielkich zakładów chemicznych I. G. Farbenindustrie, bo był w nich zaangażowany angielski i amerykański kapitał. Nie opłacało się bombardować jednego z ognisk niemieckiego przemysłu zbrojeniowego — nie opłaca się widocznie skazywać wszystkich zbrodniarzy wojennych...

•

Znalezienie wspólnego języka z Amerykanami na temat Niemiec utrudnia również inna u nas, a inna w Ameryce skala wartościowania Niemców. Ameryka nie zaznała okupacji niemieckiej. Amerykanie znają tylko Niemcy pokonane. My znamy Niemców zwycięskich. Lecz wspólny język istnieje — znajdujemy go zawsze tam, gdzie spotykamy się ze szczerą dążnością do utrwalenia pokoju. A naród amerykański, jak i każdy naród na świecie wojny nie chce.

•

Sprawiedliwość imperialistów kończy się tam, gdzie kończy się możność wyzysku i rozszerzenia ich wpływów. Silne Niemcy rokują im więcej zysków niż Niemcy słabe, chociaż grozi to powstaniem źródła nowej wojny.

Nic dziwnego, że wobec tych faktów zrodziła się nieufność w pokojowe intencje mocarstw zachodnich. To też uspokajająco podziałało na nas i na wszystkie narody świata oświadczenie Stalina o niemożliwości rozpętania trzeciej wojny. Prasa światowa nazywa to oświadczenie pierwszym powojennym wydarzeniem, napawającym pokojowe narody tak wielką otuchą. Zgodził się z nim i Byrnes.

Kto wierzy w trzecią wojnę, kto wojny tej pragnie, jest nie tylko chorobliwym maniakiem — jest naszym wrogiem i wrogiem wszystkich ludów świata.

•

Nikt z nas nie jest wolny od obowiązku stałej czujności i rozbudowy podstaw pokoju. Podstawy te krzepną nie tylko przez tępienie resztek faszyzmu, działających u nas pod postacią band dywersyjnych. My budujemy pokój przez pomnażanie siły naszego kraju. Każdy dobrze przepracowany przez nas dzień, każdy nowy Polak na Zachodzie, jak i każdy odbudowany dom czy fabryka — jest wkładem w wielkie dzieło budownictwa pokoju i odpowiedzią protektorom Niemców.

W naszych dążeniach pokojowych nie jesteśmy sami, nie jest osamotniona młodzież polska. Wszystkie polskie organizacje młodzieży demokratycznej wchodzą w skład Międzynarodowej Federacji Młodzieży Demokratycznej, której głównym zadaniem jest walka z resztkami faszyzmu, walka o pokój, sprawiedliwość i braterstwo. Do federacji należy kilkadziesiąt milionów młodzieży. Są w niej Amerykanie i Anglicy, są Chińczycy i Jugosłowianie, Rosjanie i Szwedzi... kilkadziesiąt narodowości świata. Wszystkich ożywia gorąca myśl o pokoju. I ta młoda, zdobywcza myśl milionów zwalczyć musi wszystkie przeszkody na drodze do trwałego pokoju.

Tadeusz Żochowski

Humor amerykański



Oh, przepraszam! Myślałem, że to pokój 6...

Mówić o nowej Bułgarii — to mówić o heroicznej epoce narodu, który wbrew wszystkim trudnościom i przeszkodom, w jakich go zostawił były faszystowski „rząd", kroczy dzielnie naprzód, mając za dewizę: „dorównać i prześcignąć". Gdy ich widziałam często głodnych, źle ubranych, z entuzjazmem budujących swą młodą demokrację, swój przemysł, swoją kulturę — czułam i widziałam wraz z nimi łodzące się Nowe Życie, wierzyłam wraz z nimi, że ich jutro musi być lepsze. Wkład młodzieży bułgarskiej w budowę tego Nowego Życia jest olbrzymi. W walce o lepsze jutro jest ona czołówką ludu bułgarskiego. Wciąga go do walki o realizację najśmielszych planów. I dlatego tam, gdzie były wczoraj zgliszcza i płacz, rozkwitają nowe fabryki, nowe domy, rozbrzmiewa radosna pieśń.

Ta sama młodzież, która wczoraj, kiedy zdradziecki rząd cara Borysa zaprzedał Bułgarię Niemcom, wciągając ją dwukrotnie wbrew woli ludu w wojnę po stronie wroga — ta młodzież walczyła masowo w partyzantce na ziemi bułgarskiej, jugosłowiańskiej i greckiej, a później, po Powstaniu Narodowym (9 września 1944) wraz z Armią Czerwoną zdobywała Wiedeń i Budapeszt, dziś z kilofem i młotem w ręku buduje i utrwala Demokrację Ludową. Widziałam ją w fabrykach, w masowym ruchu przodowników pracy, widziałam ją wyjeżdżającą z „brygadami pracy pomocy wsi" i widziałam tych ze wsi, przyjeżdżających masowo pomagać miastu, widziałam małych „Septembryjcze" (organizacja dziecięca, obejmująca dzieci szkół powszechnych i progimnazja) budujących swoje szkoły i kluby. Spotykałam po wsiach i fabrykach największych literatów i poetów, zagrzewających gorącym słowem do walki o zwycięstwo.


Bułgaria. W obozie letnim instruktorek Czerwonego Krzyża

Najbardziej jest charakterystyczne dla młodzieży Bułgarii to, że nie ma tam prawie młodzieży niezorganizowanej. Prawie 90% młodzieży grupuje się w demokratycznych organizacjach. Na 7 milionów ludności — 1 milion 400 tysięcy młodzieży — to członkowie Centralnej Komisji Porozumiewawczej Młodzieży.

Organizacja R. M. S. — Związek Młodzieży Robotniczej — liczy 700 tysięcy członków.

Organizacja Z. M. S. — Związek Młodzieży Wiejskiej — bliska programowi R. M. S. grupuje 400 tysięcy członków.

Młodzież Socjal-Demokratyczna — 150 tysięcy.

„Zwineo" — organizacja inteligencji pracującej — 150 tysięcy.

Organizacja młodzieży uczniowskiej E. M. O. S. — 170 tysięcy, czyli 75% młodzieży gimnazjalnej.

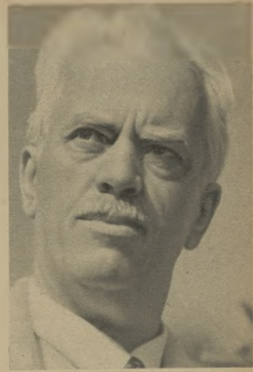
Organizacja studencka liczy 20 tysięcy członków, na 35 tys. studentów w ogóle.

Organizacja dziecięca („Septembryjcze") obejmuje 90% dzieci w wieku szkół powszechnych i progimnazjów. Liczy około 500 tysięcy dzieci wsi i miast. Podkreślić należy wybitnie demokratyczny charakter wszystkich tych organizacji młodzieżowych, stojących zdecydowanie za Rządem Demokratycznym Frontu Patriotycznego.

Młodzież tak jednolicie i masowo zorganizowana daje Nowej Bułgarii pewność dotarcia do celu — szczęśliwej, jasnej przyszłości.

Julia Pirotte

Fotografie autora


Todor Pawłow — regent Bułgarii


Georgji Dymitrow — wódz i ulubieniec ludu bułgarskiego

Młodzież nowej BUŁGARJI


„Septembryjcze" — najmłodsze pokolenie nowej Bułgarii. Przyszli budowniczy wspaniałej przy-


Bułgaria w pierwsze dni po wyzwoleniu. Niezliczone tłumy — kwiaty i sztandary na uroczystym pogrzebie bohaterów, poległych w walce o wolność i demokrację


Była partyzantka Nina Krajczewa ze wsi Kuryło. Pracuje obecnie w Milicji Ludowej


Cola Dragoiczewa — generalny sekretarz Komitetu Frontu Patriotycznego



Warszawa się broni! Ta wieść zelektryzowała masy. Wydobyła na powierzchnię wszystko, co było w mieście. Wszystko, co było najlepsze w człowieku.

Ci, co znajdowali się już na szosach, o dziesiątki i setki kilometrów, wracali z powrotem. Ci, co w panice, rezygnacji, rozpaczy kryli się po piwnicach, wyszli teraz na ulicę.

— Warszawa się broni! — szło z ust do ust. To hasło oświetlało twarze blaskiem uporu, zaciekłości, zuchwalstwa. Uskrzydlało ruchy. Ramionom dawało siłę furii.

Miasto było przygotowane do obrony. Otoczone od południa i zachodu starymi, nie przystosowanymi do nowoczesnej wojny fortami: Szczęśliwickim i Bema, posiadało jedynie mocną naturalną obronę od północnego wschodu: Wisłę.

Ale techniczne i strategiczne niedostatki z nadwyżką wyrównywał materiał ludzki, duch, jaki ożywiał — wczorajszych, szarych mieszkańców Warszawy, od dzisiaj — Jej obrońców.

Ożyły tradycje walk wyzwoleńczych.

Niebywały entuzjazm ogarnął ludzi. Szykowano się do krwawej rozprawy, jak do wielkiego święta.

Do biura werbunkowego „Batalionu Obrony Warszawy", od rana do nocy zgłaszali się ochotnicy.

W okopach, obok mundurów, pojawiły się bluzy robotnicze i cywilne marynarki! Fort Bema obsadzony został głównie robotniczymi oddziałami. Bronił bohatersko wejścia do miasta od strony Woli.

Tu też najczęściej zaścielały pola szkielety niemieckich czołgów.

Gęsto rozsiane stanowiska cekaemów, były doskonale zamaskowane gałęziami i wysoką trawą fortecznych wałów. W zagłębieniach narożników umieszczono zenitówki. W obsłudze cekaemów przeważali młodzi chłopcy, w zasmarowanych oliwą kombinezonach, którzy przeszli P. W. i doskonale umieli obchodzić się z bronią automatyczną. Starsi, z karabinami zwykłymi, zajmowali przestrzeń u podnóża wałów.

— Gorący naród ci cywile — mówił starszy sierżant Kopa do Wincentego. — Jak wczoraj tyralierka szwabów szła na nas, nie wytrzymali, zrobili wypad z frontu i takiego bobu zadali draniom, że już więcej na grandę nie będą leźć...

Irena, Artur, „Pismo Pracujących", rysunki, jakże to wszystko wydawało się Wincentemu nierealne! Jedynie realne to — sierżant Kopa, robociarz z lewej strony, żołnierz z prawej strony, odcinek przedmieścia w porannym blasku, którego strzegą i karabin, karabin w zaciśniętej garści.

Tego samego poranku, na godzinę przed powrotem Jolanty i Mariana, Edwardowi udało się wyrwać z posterunku i wpaść na Senatorską. Przed dwoma dniami został przydzielony do obrony Warszawy i wraz z obsługą karabinów maszynowych włączony do plutonu, strzegącego wejścia do miasta od strony Wierzbna.

Na Senatorskiej dowiedział się od Barskiej, że Jolanta wraz z całą grupą wyszła z miasta ósmego...

Najpierw wpadł w rozpacz, myślał z przerażeniem o tym, co działo się na szosach, wyrzucał sobie, że to on, tamtego wieczoru, swymi hiobowymi wieściami pchnął ich w drogę. — Ach jakżeby się teraz przydał Marian, Jagodziński, reszta...

Warszawa broniła się przecież! I zanim Edward dojechał do pozycji, dobry nastrój, jaki władał nim od paru dni, wziął górę nad niepokojem. Opanowało go przekonanie, że Jolanta żyje, że się uratowała, że czeka na niego w bezpiecznym miejscu.

— Wszystko w porządku, wszystko w porządku — powtarzał sobie i śmiał się do swych myśli, zakładając taśmę do maszynowego karabinu.

Przed dwoma tygodniami, w lesie pod Mławą, gdy Edward tak jasno zdawał sobie sprawę z nieuniknionej klęski, biorąc pod uwagę nieprzygotowanie i źle uzbrojenie armii oraz nieudolęstwo rządu i dowództwa — nie myślał o trzeciej niewiadomej tej wojny, o ludności cywilnej, o tyłach, które jakże często stawały się frontem, najbardziej narażonym i najofiarniejszym. Potem jeżdżąc wzdłuż i wszerz miasta z rozkazami, zobaczył je, owe tyły, ludzi co samorzutnie kopali rowy przeciwtankowe i stawiali przeciwtankowe zapory ze słupów telegraficznych i tramwajowych wywróconych wagonów...

Ludzi, co gdy nie było pod ręką innego materiału, z własnych mieszkań wynosili własne, nędzne rzeczy, kulawe stołki, dziurawe miski, szafy spróchniałe i żelazne pogięte łóżka, aby umocnić „swoją" na „ich" ulicy, ich rękami wzniesioną barykadę. Zobaczył ludzi, co nie myśleli o ucieczce, co z pogardą patrzyli na tych, którzy ratowali życie, gdy ginęła Ojczyzna... Zobaczył ludzi, co podejmowali broń rzuconą przez zabitych żołnierzy, gdy chodziło o odparcie jakiejś niemieckiej czołówki, od ich przedmieścia. Mieli w krwi tradycję powstań, mieli wytrwałość tych, co całe życie trudzili się i nieustraszoność tych, co nie mają już nic więcej do stracenia...

I Edward zaczął marzyć nie tylko o tym, by umrzeć z honorem jak owej bezsennej nocy przed zaczęciem wojny, nie tylko o tym, jakby później możliwie jak najwięcej wyrządzić szkody Niemcom — w ten sposób przyczynić się do zwycięstwa, które nadejdzie kiedyś, po latach, gdy jego i tych co walczą wraz z nim dawno nie będzie na świecie — Edward począł marzyć o zwycięstwie, któreby się zaczęło zaraz, dziś albo jutro, i tu, stąd, od tego odcinka warszawskiego frontu, od tego właśnie przedmieścia.

Zdawało mu się, że jest bliżej niż kiedykolwiek spełnienia dawnych marzeń, które były dlań najkonkretniejszą rzeczywistością, najistotniejszą treścią życia.

Po trzech dniach zażartej walki, po trzech dniach bohaterskiej obrony, Niemcy wyparli ich z okopu na Wierzbnie... Żołnierze cofali się krok za krokiem, walcząc zażarcie o każdy załom murów i zraszając krwią każdy metr bruku.

Była to piękna, nowoczesna dzielnica Warszawy. Nowe, o prostym rysunku i lustrzanych szybach domy i małe, willowe domki w ogródkach pełnych zieleni i drzew.

Wille stały pustkami. I nieraz znajdowali słodki nocleg wśród lśniących posadzek, skrzących kryształów, krwistych mahoni i cytrynowych mebli z polerowanego jesionu, na okrytym samodziałową narzutą tapczanie — strudzeni i brudni obrońcy.

Czołgi, ślepe i straszne jak rozjuszone zwierzęta, kruszyły barykadę po barykadzie, rozrzucały ślepymi mordami sine tętnice spiętrzonych szyn i wgniatając w ziemię czerwone cielska tramwajów i czerwone od krwi strzępy ludzi — szły naprzód. Tak ich wygnały z szerokiej, nowoczesnej siedziby Mokotowa. Willowe domki z samodziałami i mahoniami, z ogródkami i różami były teraz w rękach Niemców.

Siedemnastego września pluton karabinów maszynowych, w którym był Edward, oparł się o barykadę ciągnącą się przez całą szerokość Puławskiej, która o jakie 60 metrów od tego miejsca przechodzi w wąską kiszkę starej dzielnicy.

Niedługo przed wojną planowano zniszczenie tej „kiszki", uregulowanie i wyasfaltowanie olbrzymiej arterii mokotowskiej od Placu Unii aż do Wierzbna, zburzenie starych domów.

I mieszkańcy „kiszki" bali się owej regulacji, żałowali starych, wysiedziałych kątów, ze szczurami, z pluskwami, z wilgocią, z zaduchem...

Teraz bomby kruszyły domy i przeprowadzały regulację miasta, a oni nie bali się już niczego, oni pomagali żołnierzom, to była ich barykada i ich żołnierze. I ich walka.

Takich barykad zbudowali trzy, ale dwie, tarasujące uliczkę prowadzącą na Belweder i uliczkę przytykającą do pól Ochoty, saperzy rozrzucili ku ich żalowi — jeszcze zwymyślali ich — że przysparzają pracy i zamętu zamiast „pomagać" armii.

A ta pozostała była dobra, ta „pomagała" armii.

Teraz opiekowali się jej załogą, nosili walczącym chleb i wodę, zapraszali na spanie i mycie.

Tu czołgom było trudniej. W „kiszce" nie można było rozwinąć ataku, maszyny nacierały pojedynczo, a żołnierze zasypywali je przeciwpancerną amunicją, zmuszali do odwrotu, doganiali, cofające się, kulami działka przeciwpancernego. To działko było dumą barykady i jej opiekunów.

Dziewiętnastego działko zamilkło.

— Co się stało? — pytali cywilni, gdy zabrakło w ogłuszającej muzyce broni, jednego składowego dźwięku.

Żołnierze wiedzieli. Skończyły się pociski...

— A co z amunicją dla karabinów maszynowych?

— Przeciwpancernej jest tylko 9 skrzynek z taśmami.

Edward został przy karabinie, na jego motocyklu pojechał do Cytadeli zawsze tak samo wesoły, wiecznie wygwizdujący tanga szofer Florek.

Najulubieńszy swój przebój, Tangolitę, przerobił Florek w ten sposób, że na miejsce imienia zdradzieckiej dziewczyny, po której płacze porzucony kochanek, wstawił „Adolfa" lub „Hitlera". Za każdym razem, choć wyśpiewywał ją całymi dniami, piosenka wywoływała nowe wybuchy śmiechu wśród żołnierzy i cywilnych.

— Hitleeera... — wyciągał w namiętnej męce miłosnej Florek.

— Hitleeera, coś ty ze mną zrobiła, rzuciła, dziewczyno, jak strzęp.

— Coś ta nasza Hitlera — cholera nie wraca — mówili teraz ludzie.

— Żeby tylko zdążyli przysłać przed nowym atakiem...

Przerwa trwała pół godziny. Potem czołgi ponowiły natarcie.

Zwykłe kule karabinów maszynowych odskakiwały od ich pancerzy, nie wyrządzając im żadnej szkody... Czołgi weszły w „kiszkę", w którą dotąd nie ośmielały się zapuszczać...

— Już wiedzą, że nie mamy amunicji przeciwpancernej, pierony — krzyknął obok Edwarda sierżant zawodowy, z pochodzenia Ślązak. — Ja już z dawien dawna szykowałem się do nich. Bóg dał doczekać — nie raz mówiłem Edwardowi.

Teraz jęknął nagle i wyciągnął rękę przed siebie: Edward spojrzał tam myśląc, że sierżant pokazuje mu jakiś cel i dopiero w chwili, gdy tamten zwalił się z barykady, zrozumiał, że to był ostatni, kurczowy gest konającego. Pocisk rozpłatał mu czaszkę...

Pierwszy czołg był już o pięćset metrów, za nim rzędem pchały się w „kiszkę" jeszcze trzy...

Wtedy Edward krzyknął — benzyny! Skoczył z barykady wstecz, do bramy, do piwnicy. — Benzyny! — krzyczał — benzyny, kto ma benzynę, prędzej!

Ludzie milczeli zaskoczeni. Wreszcie odezwała się jakaś kobieta.

— Benzynę może mieć jedna żona szofera, ona mieszka tam, niedaleko.

Druga dodała:

— Ja mogę dać trochę... Do zapalniczki miał stary. Na górze, w mieszkaniu.

— Ile tej benzyny? Dużo, mało, do czego? — zaczęli pytać się wszyscy na raz.

— Dużo, jak najwięcej, co mi wasze zapalniczki, dużo benzyny trzeba, do cholery, butelki, bańki.

Obie kobiety wybiegły. Reszta trwała niezdecydowanie, podniecona jego pasją, nierozumiejąca.

— Skąd u nas benzyna? U kogo jest do zapalniczki, u kogo, żeby plamę wyczyścić — i to wszystko...

Nagle, mała, żywa staruszka, wybiegła naprzód.

— A nafta?

— Nafta! — krzyknął Edward. — Może być nafta! Dawajcie naftę! Prędzej! Na barykadę, czołgi podpalić!

Teraz zakotłowało się w piwnicy, ludzie ruszyli na piętra, do mieszkań, nikt nie zważał na ogień karabinów maszynowych, na odłamki i pociski.

Teraz, gdy zrozumieli o co chodzi, teraz, gdy wiedzieli, że mogą pomóc „swojej" barykadzie — udzieliła im się pasja Wielgosza. Nafta była prawie u wszystkich... Do prymusów, na podpałkę, do lampy. W bańkach w spiżarce, w butelkach w kuchni pod stołem.

Teraz niesiono to na barykadę, podawano żołnierzom. Wyrostki, kobiety biegły od bramy do bramy, mobilizując wszędzie naftową pomoc...

Żołnierze stali na barykadzie, uniósłszy nad głową butelki, niby granaty.

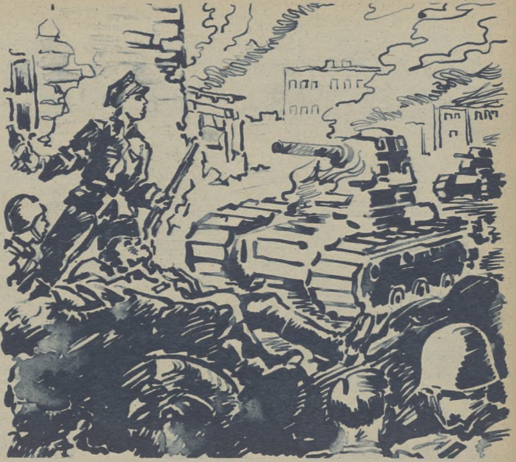
— Czekać, czekać — wrzeszczał Edward nie swoim głosem, zachrypnięty, z wytrzeszczonymi oczyma.

Gdy pierwszy czołg był o pięćdziesiąt metrów, jakaś kobieta niepowstrzymała się, cisnęła pierwszą butelkę. Butelka upadła obok maszyny. Za nią druga, trzecia...

— Czekać, do cholery, czekać, nie rzucać! — ryczał Edward. — Nie marnować!

Gdy czołgi zbliżyły się na trzydzieści metrów, Edward cisnął pierwszą butelkę z samozapalającym płynem. Tych butelek było zaledwie kilka... Ale ludzie już nieśli całe naręcza szmat, stosy gazet, wyrwaną z sienników słomę, strzępy powiewających włosiem materaców. To wszystko podpalano na barykadzie, ciskano w dół jak kawały ruchomego ognia. I oto zapłonęła nafta rozlana na ziemi, z celnie rzucanych butelek. I oto ściana ognia zasłoniła wylot „kiszki". Gdy opadła — ludzie zobaczyli, że pierwszy czołg płonie.

Chóralne hurra — wydobywało się z piersi obrońców... Ludzi ogarnął szaleńczy zapał... Naftę niesiono z całej okolicy, z bocznych ulic, podawano z rąk do rąk, aż na barykadę, do rąk kobiet i dzieci, mężczyzn, którzy skoczyli tam, by podać naftę i zostali już nieulękli, na pierwszej linii strzałów, zapomniawszy o niebezpieczeństwie, nie myśląc o śmierci — podając butelki, rzucając je. Nikt już nie opanowywał lęku, lęku nie było, znikł w strasznym upojeniu walki, zamilkł instynkt samozachowawczy...



Drugi czołg zaczął się cofać wśród morza płomieni, nagle, runął w nie, nakryła go czerwona fala. Krzycząc nowe, zapamiętałe „hurra", ludzie widzieli jak klapa maszyny skacze niby pokrywa na imbryku. Ale nikt nie wyszedł z wnętrza. Przy upadku czołg oparł się wierzchem o zad drugiej maszyny i klapy nie można było otworzyć. Wreszcie znieruchomiała półotwarta; z wnętrza czołgu zaczęły się ukazywać języki ognia, łącząc się z tymi buzującymi na zewnątrz.

Trzeci cofający się czołg zaczął nagle ślizgać się i utykać, zarzucać zadem, zataczać się na boki — to gąsienica spadła z kół. Naprożno tamten wewnątrz szarpał dźwignią, rozpędzał, to hamował motor, usiłując zmusić potwora, by na pozostałej gąsienicy wyniósł go poza dosięg oszalałej barykady i poza niemieckie pociski, walące w nią, z reszty już wycofanych z pola walki czołgów. Czołg ciskał się, jak rozwścieczony zwierz, walił się taranem na domy, rył nosem barykadę, to znów cofał się zadem w groteskowych podrygach, ale z „kiszki" nie dawał się wyprowadzić.

Wtedy Wielgosz, mokry od potu, czarny od wybuchów, z butelką wzniesioną w górę, rzucił się z barykady naprzód — na okaleczony czołg, a za nim — tłum cywilnych i żołnierzy, wyrostków i kobiet, z butelkami nad głową, z szaleństwem w oczach, z upojeniem w sercu.

Edward nie poczuł ani ognistego dotknięcia odłamków, które zgniotły mu hełm i oparzyły plecy, ani bólu w roztrzaskanej nodze. Poczuł tylko, że jakaś niepojęta siła, dziwnie sprężyście i lekko, jakby naraz stracił wszelką wagę, unosi go w górę.

— W takim momencie umierać — przemknęło przez głowę Edwarda burzą żalu, zdumienia, oburzenia prawie, w momencie zapalenia czołgu butelką benzyny — w momencie szaleńczego upojenia swym znikomym zwycięstwem garści mieszkańców ulicy Puławskiej.

Nie wiedział, że Warszawa tkwi jak wyspa w morzu ognia, krwi i zniszczenia, że nie bronią już nic, prócz honoru polskiego narodu, że cała Polska jest w rękach Niemców, że rząd i dowództwo zdążyły się trzy dni temu schronić zagranicą, że najbardziej szaleńcze bohaterstwo i ofiarność Warszawy, nie mogą odrobić lat bezmyślności i zdrady, lat, w których Europa pozwoliła i pomogła uzbroić się po zęby, wściekłej bestii hitlerowskiej.

On, taki trzeźwy zawsze, teraz, w upojeniu boju, który stawał się zwycięski, sądził, czy raczej marzył, bez myśli, samymi obrazami, wybuchającymi równie jaskrawo jak pękające wokół pociski, że od tej barykady na Puławskiej zacznie się klęska Niemiec, koniec hitleryzmu, zwycięstwo demokracji Europy, że narody ujmą ster w swe ręce i pożeglują — w nieskończone, słoneczne przestrzenie.

Taka przestrzeń, na jedną setną sekundy, otwarła się promienistą błyskawicą nad głową Edwarda, lecącego w dół ze słupa wybuchu, a potem, jakby kto garść popiołu sypnął w oczy, wszystko zgasło.

Elżbieta Szemplińska

Z teki amerykańskich dziwactw



W mieście St. Louis (Montana), nie wolno na chodniku pić piwa z wiadra



W Portland (Oregon), noszenie zakupów w koszyku na kiju jest nielegalne



W Denver (Kolorado), dręczenie szczurów jest karane przez prawo



Prawo w północnej Karolinie zabrania picia wody i mleka podczas jazdy w pociągu

Wieczna uczennica

Gdy myślę o życiu Marii Curie — stale przypominają mi się niedawne lata okupacji. Groza i beznadziejność codziennej wegetacji, większa niż kiedykolwiek chęć ucieczki od rzeczywistości, a zarazem poczucie związku z życiem. Dojrzewająca, przygnieciona ciężarem przeżyć wojennych młodość rwała się do świata, do nauki, do wiedzy. Tak bardzo pragnęliśmy się uczyć — tak trudno było to pragnienie urzeczywistnić. Część tylko młodzieży z narażeniem własnego życia i zdrowia mogła potajemnie studiować — inni, w których silnie i żywo płynęło pragnienie wiedzy, szukali jego zaspokojenia w lekturze, w samouctwie. W tych czasach dobrze było pomyśleć o tym, że był ktoś młody, kto w odmiennych warunkach walczył z życiem o samego siebie, o kształcenie umysłu, pogłębianie duszy, kto gotów był wyrzec się wszystkiego, aby zaspokoić żądzę wiedzy, aby poświęcić się bez reszty umiłowanej nauce.

Szukaliśmy źródła energii i siły w książce, piękniejszej, niż niejedna powieść, dramat, poezja — w książce, którą pisało samo życie. Była nią biografia Marii Curie, napisana przez jej młodszą córkę Ewę.

Życie wielkiej uczonej, począwszy od jej lat dziecinnych aż do śmierci — od dziejów małej Maninsi, pieszczotliwie zwanej w rodzinie Skłodowskich „Anciupecio", poprzez historię trudów i pracy pensjonarki, nauczycielki wiejskiej, studentki, młodej uczonej, żony znakomitego fizyka, laureatki Nobla — to historia prosta i piękna, a tysiąckrotnie bardziej pasjonująca, niż powieściowe biografie wielkich artystów, władców, czy mężów stanu.

Maria Curie, to nie tylko genialna uczona. To szlachetny, głęboko czujący człowiek, najlepsza obywatelka obu swoich ojczyzn — Polski, której zawsze była wierna — i Francji, z którą związał ją los. U szczytu sławy i czci ludzkiej, pozostała Maria Curie zawsze takim samym człowiekiem, jakim była od lat dziecinnych — „wieczną uczennicą" w upartym mozole dążącą do odkrycia tajemnic i zagadek wszechświata, jedynym — jak stwierdził któryś z uczonych europejskich — „człowiekiem niezepsutym przez sławę"

Urodzona w r. 1864 w Warszawie, tu spędza swoje lata dziecinne i szkolne. Była najmłodszą z pięciorga dzieci Józefa Skłodowskiego, nauczyciela gimnazjalnego. Kulturalny dom, wielka miłość i wzajemne przywiązanie rodziców i rodzeństwa — oto atmosfera, w której wzrastała Mania Skłodowska. Dzieciństwo Mani zmąciły nieszczęścia rodzinne. Najboleśniejszym z nich była śmierć matki — i długie, męczące lata nauki w carskiej szkole. Wybitnie uzdolniona dziewczynka uczy się doskonale. W szesnastym roku życia zdaje ze złotym medalem maturę i... rok spędza na wsi na pierwszym i chyba jedynym zupełnie w swoim życiu odpoczynku. Ten rok poprzedza dalsze lata, które dla Marii staną się okresem ciągłej, wytężonej pracy, samozaparcia i jak najdalej idących wyrzeczeń. Młoda dziewczyna chce się koniecznie uczyć. Zainteresowaniami swoimi zwraca się w tych latach zdecydowanie w stronę nauk ścisłych — matematyki i fizyki. Marzy o wyjeździe do Paryża na uniwersytet w Sorbonie, aby tam uzyskać dostęp do źródeł wiedzy, którego nie może uzyskać w Warszawie — tutejszy bowiem uniwersytet nie przyjmuje słuchaczek-kobiet.

Ale siedemnastoletnia Mania posiada starszą siostrę Bronkę, również pragnącą się uczyć, aby zostać lekarzem. O jednoczesnych studiach dla nich obu, najbardziej z całego rodzeństwa do siebie przywiązanych — nie ma mowy. Mania proponuje więc siostrze osobliwą „spółkę": rozpoczyna pracę, jako nauczycielka, początkowo w domach prywatnych w Warszawie, później na wsi, a zarobione pieniądze posyła do Paryża siostrze na koszta jej nauki. Gdy Bronka ukończy studia — z kolei będzie mogła jej pomóc. Sześć lat czeka Mania na spełnienie swego marzenia — uzyskania możności dalszej nauki. Sześć lat oderwana od rodziny, od ukochanego ojca, przebywa u obcych ludzi, pracuje, a jednocześnie kształci się nadal przez uporczywe samouctwo. Znajduje przy tym jeszcze czas na potajemne nauczanie dzieci wiejskich. Była bowiem nieodrodną córką epoki pozytywizmu, umiejąc brać z tego prądu to, co w nim było najlepsze i najszlachetniejsze. Wreszcie ukończenie studiów przez Bronkę daje Marii możność wyjazdu do Paryża i rozpoczęcia tego okresu życia, który kiedyś Piotr Curie nazwie „heroicznym".

Cały wysiłek Marii skierowany jest ku jednemu celowi: uczyć się, kształcić, pogłębiać zdobytą wiedzę. Na drodze do tego celu nie zwraca ona uwagi na „drobnostki" takie, jak własne zdrowie, na niedostatek, głód i chłód. Po kilkunastogodzinnej nauce — krótki sen, byle jaki posiłek, w chwilach nocnego znużenia nad książkami ...pranie „dla odpoczynku" — bylejaki posiłek i znów powrót do książek i laboratoriów — oto zwykły tryb życia Marii. Po spartańsku urządzony pokój na poddaszu, niemożliwie zimny w okresie chłodów, a gorący podczas upałów — oto jej dom. Kontakt z siostrą, która wyszła zamąż za kolegę-lekarza Kazimierza Dłuskiego, rzadkie wypady do teatru lub na podmiejską wycieczkę — oto jedyne, skąpo samej sobie użyczane chwile wytchnienia. Po roku Maria zdaje licencjat z matematyki i fizyki z pierwszą lokatą. Krótki odpoczynek w Polsce — i powrót do Paryża, do bibliotek, laboratoriów.

Z programu swoich planów życiowych Maria skreśliła, niesłusznie zresztą, miłość i małżeństwo. Chce oddać się cała, bez reszty umiłowanej nauce. Ale chociaż w życiu nie ma bajek — za szczególny los szczęścia uważać można spotkanie Marii z człowiekiem, jakby dla niej stworzonym — fizykiem **Piotrem Curie**, dla którego stała się nie tylko najlepszą żoną i towarzyszką, ale naukową współpracownicą, dotrzymującą mu kroku na każdym polu badań i odkryć. Zanim jednak Maria powziemie ostateczną decyzję zamążpójścia — długi czas toczy ona walkę z samą sobą, z silnym poczuciem związku z krajem ojczystym, z nurtem społecznym, który zawsze żywo w niej drgał. Chciała przecież po ukończeniu studiów wrócić do Polski, aby móc w niej i dla niej pracować. Z drugiej strony zdaje sobie sprawę, że nie znajdzie w Polsce takich warunków do prac badawczych, jakie daje Paryż. Pozostaje więc we Francji — ale nigdy o Polsce nie zapomina. Uczy męża, a później i obie córki miłości do swego kraju, odwiedza Polskę w miarę czasu i możności, śledzi pilnie bieg jej wydarzeń, interesuje się żywo losem studiującej w Paryżu młodzieży polskiej. Z jej inicjatywy powstaje w Warszawie Instytut Radowy. Tenże Instytut zawdzięcza jej bezcenny dar — gram radu.

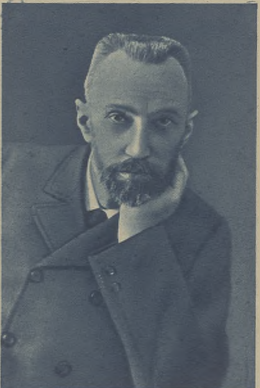
Wróćmy jednak raz jeszcze do młodych lat Marii. Zamążpójście, a nawet później — macierzyństwo, obarczając ją podwójną ilością obowiązków, nie umniejszyło bynajmniej jej energii i rozmachu w pracy naukowej. Ta kobieta nic nie potrafi czynić połowicznie. Umie pogodzić obowiązki żony, matki, pani i gospodyni domu z pracą naukową, nie zwracając — po dawnemu — uwagi na własne zdrowie i własną wygodę. Jest jak najlepszą matką dla obu swoich córek, Ireny i Ewy (później praca z mężem Ireny, Fryderykiem Joliot, również laureatem Nobla), a równocześnie dotrzymuje kroku mężowi w pracach badawczych — prace to niebylejakie. W wyniku długich, mozolnych badań i poszukiwań, przeprowadzanych w najcięższych, najprymitywniejszych warunkach — bo w starej szopie laboratoryjnej — małżonkom Curie udaje się odkryć i wydzielić dwa pierwiastki promieniotwórcze — polon i rad. Znaczenie tego odkrycia dla nauki i dla życia ludzkiego jest olbrzymie — rad bowiem, jako ciało silnie promieniotwórcze daje środki ratunkowe przy najstraszniejszej chorobie, jaką jest rak.

Małżonkowie Curie mogliby zapewnić sobie dostatnie życie przez opatentowanie swego odkrycia. Nie czynią tego jednak, uważając, że rad jest własnością całej ludzkości i jako taki przez nikogo eksploatowany być nie może.

Zaszczyty i odznaczenia nie zmieniają trybu życia obojga uczonych. Największym z nich hołdem jest przyznanie przez Szwecję małżonkom Curie nagrody Nobla. Ale... światowej sławy fizyk Piotr Curie nie może urzeczywist-



Maria Skłodowska jako studentka Sorbony. Zdjęcie zrobione na balkonie w mieszkaniu pp. Dłuskich w Paryżu przy ul. d'Allemagne



Piotr Curie (r. 1903)



Maria Curie w r. 1929

nić swojego jedynego i największego marzenia: uzyskania stałej pracy wykładowczej, jako źródła utrzymania i odpowiednio wyposażonego laboratorium.

Pasmo dni i lat wypełnionych po brzegi wspólnym życiem i wspólną pracą przerywa się gwałtownie. Piotr Curie ginie potwornie ironicznym zrządzeniem losu — w wypadku ulicznym pod kołami ciężarowego wozu. Maria zostaje sama, bez męża, towarzysza, przyjaciela, z dwoma córkami, które są zbyt malenkie, aby stać się podporą jej samotności. Po pierwszym ataku rozpaczy uczona dźwiga się na duchu, podejmuje dalej pracę, przerwane śmiercią męża i dawny tryb życia. Jako pierwszy w dziejach Sorbony paryskiej profesor-kobieta prowadzi wykłady uniwersyteckie. Zajmuje się wychowaniem dzieci. Ale na długie lata z jej twarzy znikł uśmiech, radość, pogoda.

Rośnie z biegiem lat jej sława, rosną zaszczyty. Znajomość lub przyjaźń łączy Marię Curie z szeregiem najwybitniejszych uczonych świata, polityków, mężów stanu. Odbywa w rzadkich chwilach odpoczynku podróże po Europie, wyjeżdża do Ameryki, gdzie czeka na nią dar wspaniały — gram radu dla jej laboratorium. Rok 1914 — wybuch wojny światowej przerywa pracę naukową Marii Curie, na inny tor przestawiając bieg jej życia. Wielka uczona w krótkim czasie prawie z niczego organizuje szeroko rozgałęzioną sieć wędrownych stacji pomocy roentgenowskiej dla szpitali wojskowych. Własnym wysiłkiem



Maria Curie z córką Ireną w laboratorium

zdobywa dla tego celu szereg samochodów, ochrzczonych popularną nazwą „małych Curie", kieruje powyższą akcją, docierając do szpitali w różnych odcinkach frontu i ratując życie i zdrowie tysiącom chorych żołnierzy. U jej boku pracuje, jako sanitariuszka, starsza jej córka, Irena. Rok 1918 przynosi światu i Francji pokój, Polsce oswobodzenie i wolność. Maria radośnie przeżywa te chwile i w dalszym ciągu żywo obchodzi ją los Polski, którą od czasu do czasu odwiedza.

Dawny tryb życia, praca naukowa, kształcenie młodych uczonych, zwanych przez Curie „kochankami fizyki", w chwilach odpoczynku wyjazdy do nadmorskiej Bretanii staje się znów udziałem wielkiej uczonej. Ale czas płynie, nadszarpnięte wieloletnim wysiłkiem zdrowie uczonej zaczyna niedopisywać. Maria Curie zapada na ciężką chorobę oczu. Wysiłek lekarzy zdołał odsunąć grożącą jej ślepotę. Jeszcze na czas pewien wraca ona do dawnej pracy. W r. 1934 zmuszona jest do wyjazdu na kurację do Szwajcarii. Nie pomaga najtroskliwsza opieka, ani starania lekarzy. Maria Curie umiera tegoż roku w sanatorium w Sancellemoz.

W historii świata wiele można spotkać kobiet wybitnych bohaterek, artystek, uczonych, działaczek społecznych. Ale kobietę podobną do Marii Curie znaleźć trudno. Pogodzenie pracy twórczej z obowiązkami życia kobiecego, stanowi dla wielu kobiet dylemat nierozwiązalny, prowadzący do rozwiązań często tragicznych — rezygnacji z pracy twórczej na rzecz życia domowego, lub odwrotnie. Maria Curie-Skłodowska, to wielka uczona i pełny, twórczy, wielki człowiek. Ale dla nas młodych, którzy wiele przeszliśmy i wiele jeszcze mamy przed sobą — najmilszą i najbliższą jest ona, jako człowiek bez wytchnienia dążący do wiedzy, jako „wieczna studentka", którą była aż do końca swoich dni.

Kazimiera Kosińska

Łowickie — kraina bajecznie kolorowych strojów ludowych i artystycznych wycinanek — ojczyzna wielkiego pisarza Reymonta oraz licznych klechd i podań ludowych z legendą o łęczyckim diable Borucie na czele — dziś jest jednym z okręgów przodujących w elektryfikacji



Ulica we wsi Gągolin oświetlona jest w nocy elektrycznością



Kobiety łowickie przędą przy żarówce elektrycznej

Dzień Spółdzielczości

Kiedy w 1844 r. kilkunastu tkaczy angielskich, broniąc się przed wyzyskiem, założyło pierwszą spółdzielnię spożywczą, nie przypuszczano zapewne, że po stu latach ich ideą kierować się będą miliony ludzi różnych klas, narodowości i sposobów myślenia. Spółdzielczość zrzesza dziś nie tylko miliony ludzi, ale potrafiła zgromadzić w swych organizacjach znaczną potęgę gospodarczą, mającą silny wpływ na życie narodów europejskich, gdyż rozwinęła się przede wszystkim w Europie. Przodujące kraje „spółdzielcze" — to w pierwszym rzędzie Dania (spółdzielczość rolnicza), Szwecja, Anglia (spółdzielczość spożywcza), Związek Radziecki (spółdzielczość pracy). Rozwój ruchu spółdzielczego w Polsce (tak, jak zresztą i w innych krajach) uwarunkowany był gospodarczą i polityczną sytuacją [illegible] w dwóch zasadniczych kierunkach rolniczym i spożywczym. W 1944 r. w Lublinie na Kongresie spółdzielczym doszło do zjednoczenia nielicznych organizacji i central spółdzielczych w jeden Związek Gospodarczy Spółdzielni R. P. „Społem" i Związek Rewizyjny Spółdzielni R. P.

W nowych warunkach spółdzielczość nabrała rozpędu — czego dowodem jest olbrzymi jej rozwój w czasie 1944—46 r. — oraz podjęła ogrom zadań i funkcji gospodarczych. Dziś trudno sobie wyobrazić życie w nowej Polsce bez takiego kolosu jak „Społem", zatrudniającego 60 tysięcy pracowników, mającego swe agendy we wszystkich miastach i miasteczkach, oraz własne, potężne zakłady przetwórcze, transport i setki hurtowni.

Trudno sobie wyobrazić wieś polską bez gminnych spółdzielni „Samopomocy Chłopskiej", które nie tylko przejęły większość zabudowań, ogrodów, stawów, młynów, gorzelni, cegielni, szkółek doświadczalnych, sprzętu maszynowego i wszystkich innych pozostałości po majątkach obszarniczych, ale także rozwinęły szeroką działalność wszechstronnej pomocy biednym i średnio zamożnym chłopom, szczególnie w dziedzinie wymiany produktów ich pracy na potrzebne im artykuły przemysłowe.

Jakież to jest zadanie, że pochłania energię takiej masy ludzi?

Zdawałoby się, że wymiana towarowa między miastem a wsią odbywa się sprawiedliwie na drodze dobrowolnych umów — bez niczyjej krzywdy. W rzeczywistości robotnik płaci za kg chleba 30 zł (t. zn. 100 kg — 3000 zł) a chłop dostaje za 100 kg żyta 800 zł. Gdzież podziewa się różnica — 2200 zł. Zysk młynarza i piekarza nie usprawiedliwia nawet drobnej części tej wygórowanej sumy.

Wsiąka ona w kieszeń spekulanta.

Podobnie jest z produktami miasta, za które chłop musi oddać znaczną część plonów swej pracy.

Polska dzisiejsza przez unarodowienie przemysłu i zniesienie obszarnictwa — zniosła wyzysk panujący w dziedzinie produkcji. Ma jeszcze u nas miejsce wyzysk w dziedzinie wymiany.

Spółdzielczość musi dostarczyć w odpowiednim czasie, w odpowiedniej ilości i w odpowiedniej cenie setki pociągów towarów dla wsi i miasta. Spółdzielcza praca wychowuje nowego człowieka. Młodzież zgrupowana w organizacjach młodzieżowych, nie tylko pomaga ruchowi spółdzielczemu, ale także kształci w swych szeregach nowych, oddanych sprawie ludu pracowników i działaczy. Młodzież ze swym dynamizmem i zapałem jest szczególnie cenna dla tego żywego ruchu, który tu i ówdzie sztywnieje i starzeje się.

W „Dniu Spółdzielczości" manifestowaliśmy swą solidarność z ideą społeczeństwa bez wyzysku człowieka przez człowieka — ideą, której symbolem jest tęczowy sztandar.

Stanisław Kuziński

Wieś Piaseczna pod Warszawą jest w trakcie przebudowy. Biedna, zniszczona wioska zmienia się dzięki inicjatywie mieszkańców, popartej przez państwo, we wzorowe osiedle



Takie domy — pozostaną szybko jedynie wspomnieniem.



Przy odbudowie Piasecznej jednym z najpopularniejszych materiałów są bloki betonowe, t. zw. pustaki

cena M·I·N·U·T·Y

Pierwszym zegarem było słońce. Jego wznoszenie się na niebie oznaczało, że zbliża się południe, zachód — mówił o następowaniu wieczoru. Dobę dzielono wtedy zaledwie na cztery „godziny" a więc: rano, południe, wieczór i noc. Kiedy zaszła potrzeba dokładniejszego dzielenia czasu, z pomocą przyszedł „łowca cienia".

Tysiąc lat temu egipscy astronomowie długość dnia mierzyli długością cienia prostego, drewnianego patyka. Był to pierwszy zegar słoneczny. Dla wygody zaczęto ustawiać zegar słoneczny na owalnej podstawie, pokreślonej odpowiednimi liniami. Był to cyferblat pierwszego zegara, a cień patyka spełniał rolę wskazówki.

Takiego zegara nie trzeba było nastawiać, gdyż nie spóźniał się i nie spieszył — szedł bodajże dokładniej niż dzisiejszy.

Poza tym „łowca cienia" wskazywał czas według słońca, podczas gdy nasze zegary nie są z nim w zgodzie. Jednak zegarem takim można posługiwać się tylko w dzień, a co zrobić nocą?

W nocy „łowca cienia" został zastąpiony klepsydrą czyli zegarem wodnym o kształcie lejka. Powoli, kropelkami wyciekała woda dolnym otworem ze lejku, a podziałka wskazywała godziny. Starożytny filozof grecki Platon sporządził nawet w ten sposób pierwszy budzik.

Doba już w tym czasie składała się z 24-ch godzin, ale godziny te inne były niż nasze dzisiejsze. Dzień bowiem od wschodu do zachodu słońca dzielono na 12 równych części i to samo także czyniono z nocą. Podczas długich, letnich dni godziny dzienne znacznie dłuższe były od nocnych, zimą zaś — odwrotnie. Ten dziwny sposób dzielenia czasu istniał jeszcze sześćset lat temu. Jednak, gdy przypatrzymy się temu „sposobowi" z bliska — nie będzie wydawał się nam dziwnym.

W starożytności i w średniowieczu nafty nie było, a świeca czy oliwa były zbyt kosztowne. Wieczorem nie tylko chaty wiejskie, ale i miejskie kamienice stały pogrążone w ciemnościach. Niewolnicy, wyrobnicy i rzemieślnicy pracowali w większości w dzień przy świetle słonecznym.

Ale już siedemset i więcej lat temu w Europie zjawił się zegar z kołowym mechanizmem i ciężarkami. Na jego cyferblacie była jedna jedyna wskazówka — wskazówka godzinowa. Minutami wtedy nie próbowano nawet zawracać sobie głowy. Zegar ten był wielką rzadkością, nawet w miastach.

Nie należy zapominać, że w tamtych odległych od nas czasach miast i mieszczan było mało, że człowiek nie obyty z miejscem i warunkami mógł zabłądzić w wąskich i krzywych uliczkach, zaułkach, głuchych przedmieściach średniowiecznego miasta, lub po prostu utonąć w błocie. A na peryferiach, poza niskimi, brudnymi kamieniczkami ciągnęły się pola, sady, ogródki. Każdy mieszczanin był bowiem właścicielem świń, kóz, owiec. Właściwie miasto [illegible] było wielką wsią, otoczoną murem obronnym i rowami. Za tym murem rozwijało się rzemiosło i handel.

Kowale i rymarze sporządzali kopie, miecze, bagnety, oszczepy — wszystko, co było potrzebne rycerzowi średniowiecznemu. Inni mieszczanie tkali sukno, robili obuwie, spod ich rąk wychodziły meble. Ci tkacze, szewcy, stolarze i rymarze w wolnym czasie, którego mieli pod dostatkiem, obrabiali drewno.



Popyt na ich wyroby był niewielki, miesiącami czekali na nabywcę. Śpieszyć się więc nie było po co, czasu nie umiano jeszcze cenić.

Ludzie w dalszym ciągu, jak za czasów starożytnych żyli według słońca i kogutów. Czas mierzyli na dni i tygodnie. Przy tak powolnym, ospałym trybie życia, gdzie nikomu nigdzie się nie spieszy — nie tylko minuty, ale i godziny przestawały być ważne i potrzebne. Tym ludziom wystarczał kalendarz. Z zegarów rzadko kto korzystał. Służyły one najczęściej, jako ozdoba wież ratuszowych na miejskich rynkach. Taki zegar w r. 1288 po raz pierwszy ozdobił londyński westminsterski ratusz a później pojawił się i w innych miastach.



Powoli wzrastała ilość mieszkańców miast. Obok tego wzrastały zapotrzebowania, rósł popyt na wyroby rzemieślników. Tkacze i szewcy chętniej poczęli pracować w rzemiośle niż na polach, ogrodach i sadach. Niektórzy z nich zakładali już większe warsztaty, w których oprócz gospodarza — majstra pracowali czeladnicy i jeden lub dwóch uczniów. Taka pracownia przynosiła więcej dochodu samemu majstrowi i wypuszczała na rynki więcej towarów.



Rynek znajdował się w pośrodku miasta, wokoło dużej budowli — ratusza z wieżą i zegarem. W większych miastach zjeżdżali się na jarmarki kupcy, przychodziły karawany towarów z innych miast i krajów. W ten sposób ożywiał się coraz bardziej handel między miastami i krajami. Miasto stało się ośrodkiem rzemiosła i handlu.

Przedtem rzemieślnik wykonywał pracę tylko na zamówienie klienta, który ewentualnie mógł poczekać. Teraz zaś klientem stał się kupiec, rynek, jarmark. Jeżeli majster opóźniał się w pracy — szkodził tym sam sobie. Powstawały nowe, nieznane dotąd zobowiązania związane z zakupami i sprzedażą. Trzeba było pracować szybciej, by zamówienia wykonać porządnie i na czas. Trzeba było się spieszyć i czas mierzyć już nie na dni i tygodnie, ale na godziny, które wskazywał zegar na miejskiej wieży. Od tej pory zegar ten przestaje być ozdobą. Czas drożeje.

W początku XVI w. zjawia się pierwszy zegarek kieszonkowy, wtedy naturalnie jeszcze bardzo drogi, dostępny tylko dla bogatych. Dotychczasowe senne życie mieszczan zmienia swoje oblicze.

— — — — — — — — —

Tymczasem miały zajść wydarzenia, które otworzyły nową epokę w dziejach ludzkości.

J. Szur
Spolszczyła J. Ejdys

Podwodny balon



Finał podróży podmorskiej w ujęciu humorysty. Na dnie oceanu zaszła dziwna przemiana z pasażerem podwodnego balonu

Wielki badacz stratosfery prof. August Piccard zamierza opuścić się na dno oceanu na głębokość sześciu tysięcy metrów.

Podróż podwodną odbędzie prof. Piccard w specjalnej gondoli-balonie podwodnym. Do chwili obecnej rekord głębokości dzierży w swym ręku Amerykanin William Beebe, który w tzw. batysferze zdołał opuścić się do 923 m pod wodę. Przyniósł on ze sobą wieści o głębinowym życiu nikomu dotąd nieznanych podwodnych stworów oraz wspaniałe zdjęcia i rysunki. Prof. Piccard ufa, iż uda mu się już w pierwszej wyprawie podmorskiej osiągnąć 4 tys. metrów. Ów statek podwodny, którym chce się posługiwać sędziwy profesor, tworzyć będzie kulę stalową o grubości pancerza 7,5 cm. Pancerz ten pokona ciśnienie wody sięgające prawie do 400 kg na cm^2. — Stalowa gondola posiadać będzie okna z specjalnie hartowanego szkła o przekroju wewnątrz gondoli 10 cm i zewnętrznym 40 cm.

Dla osiągnięcia wspomnianej głębokości przytwierdzi się do gondoli przy pomocy elektromagnesów kule stalowe, które będą spełniać rolę balastu. Baterie elektryczne służące do ogrzewania stalowej kuli umieszczone zostaną również na zewnątrz i będą mogły być w razie potrzeby odłączone. Poza tym w celu rozświetlenia wiecznych ciemności oceanu, zaopatrzy się podwodny balon w reflektory o sile 3300 świec, które zapewnią obserwowanie i fotografowanie zjawisk podwodnego świata.

Niezależnie od wymienionych urządzeń, gondolę zaopatrzy się w śmigła, poruszane elektrycznym motorkiem, które pozwolą batysferze swobodnie wędrować po głębinach.

Po powrocie prof. Piccarda z tej niezwykłej wyprawy, postaramy się zamieścić przywiezione przez niego zdjęcia i rysunki podmorskich ryb. Narazie parę zdjęć z wyprawy prof. Beebe.



„Trzygwiazdowy diabeł morski" ryba długości 15 cm, żyjąca na głębokości ponad 800 metrów. Jej osobliwością są samoświecące się maszty na grzbiecie



Sceny z filmu „Ruch to zdrowie" Z. Wasilewskiego



Kukły żyją na ekranie

W ramach wytwórni filmowej w Łodzi utworzone zostało niedawno studio filmów kukiełkowych. Zenon Wasilewski, znany karykaturzysta, jest kierownikiem jednej z dwóch pracowni studia (druga należy do ob. Potockiego). Prosimy go o garść informacji, tyczących się produkcji filmów kukiełkowych.

— Film kukiełkowy jest zupełnie nową gałęzią produkcji filmowej w Polsce — mówi ob. Wasilewski. Zagranicą produkowano filmy tego rodzaju od dawna. We Francji pracował i pracuje na tym polu nasz rodak Starewicz, którego piękne i interesujące filmy nie dotarły niestety do nas. W Rosji istnieje dobrze wyposażone studio filmów kukiełkowych. Jego kierownik, Ptuszko, stworzył m. in. znany na całym świecie długometrażowy film kukiełkowy pt. „Guliwer". W Anglii ograniczono się do reklamówek, zresztą bardzo dobrze technicznie wykonanych. Ostatnio produkuje się tego rodzaju filmy w Czechosłowacji.

Nasze studio powstało niedawno. Jeśli chodzi o mnie, to pracowałem w tej dziedzinie jeszcze przed wojną zupełnie sam, bez żadnych w tym kierunku wskazówek. Musiałem sobie sam mozolnie wypracowywać metody, które znane były gdzieindziej od dawna.

Mój pierwszy film o szewczyku Skubie, kręcony w 1939 r. nie został ukończony z powodu wybuchu wojny a w czasie moich wędrówek po Rosji został tak zniszczony, że obecnie nie można go wykorzystać. Zamierzam w przyszłości nakręcić go jeszcze raz, stosując sposoby, których nauczyłem się w ciągu ostatnich miesięcy pracy. Obecnie mam o wiele lepsze warunki pracy, niż przed wojną.

— Czy może nam pan objaśnić mechanizm poruszania się kukły wśród dekoracji?

— To bardzo proste. Wielu ludzi uważa, że kukiełka teatralna i filmowa, to wszystko jedno. Otóż jest [illegible] między sobą. Kukiełka filmowa nie porusza się na nitkach, jak kukiełka teatralna. Ma ona wewnątrz odpowiednio skonstruowany szkielet i jest przytwierdzona do podłoża za pomocą śruby lub gwoździa. Podczas gdy np. jedna noga jest przymocowana, druga jest wolna, można nią dowolnie poruszać. W ten sposób kukiełka może chodzić po podłożu. Sama oczywiście nie chodzi, trzeba ją odpowiednio poruszać i każdy, najmniejszy nawet ruch, filmować osobno.

— To jest chyba niesłychanie żmudna praca?

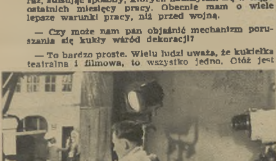
— Jasne, że żmudna, ale o wiele mniej, niż praca przy filmie rysunkowym. W filmie rysunkowym trzeba każdy ruch postaci narysować, przenieść na celuloid, po tym dopiero można zrobić zdjęcia, podczas gdy w filmie kukiełkowym ten proces przebiega o wiele szybciej i łatwiej: zmienia się położenie ręki, głowy, czy nogi kukiełki — naciska się guzik aparatu i już obraz jest na taśmie.

— Jak długo robi pan film np. 100 m długości?

— Najwięcej czasu zabiera praca nad konstrukcją kukiełki i dekoracjami. Same zdjęcia robi się szybko. Dopiero co zakończyłem prace nad swoim pierwszym po wojnie filmem pt. „Ruch to zdrowie". Nakręciłem 156 m w ciągu 3 tygodni. O wiele więcej czasu zabrało mi przygotowanie kukiełek i dekoracji do tego filmu. W niedalekiej przyszłości powiększy się personel w studio, wtedy produkcja krótkometrażowego filmu kukiełkowego długości np. 300 m nie będzie trwała dłużej niż 6 tygodni.

Atelier filmów kukiełkowych bardzo przypomina normalne atelier filmowe. Zmienione są tylko proporcje dekoracji i aktorów, a najbardziej istotna różnica polega na tym, że w atelier filmów kukiełkowych aktorzy są martwi. Dekoracje są niewielkie i co za tym idzie, tańsze o wiele, niż w normalnym atelier. Kukiełki mają wzrost nie przekraczający 35 cm.

Nie płaci się im gaży, są bardzo wytrzymałe na wszelkiego rodzaju przykrości. Kukiełka może stać np. całe wieki na jednej nodze, drugą trzymając wysoko. To są zalety, których nie posiadają żywi aktorzy. Rozrzewniająco cierpliwe i posłuszne, mają jedną tylko wadę — bardzo irytującą — nie zrobią nawet najmniejszego ruchu z własnej inicjatywy.



Twórca pierwszego polskiego filmu kukiełkowego ob. Zenon Wasilewski przy pracy













Foto - „Film Polski"

Wiatr i żagle

Koniecznym warunkiem do uzupełnienia osobistego szczęścia żeglarza jest wiatr. Gdy powietrze spokojne a błyszcząca tafla jeziora odbija wiernie obraz burty jego statku, wtedy żeglarz z pewnością nie jest dobrze usposobiony. Jego pojęcie „pięknej pogody" mija się ze znaczeniem tego słowa dla przeciętnego śmiertelnika. Korzystając z takiej właśnie „dobrej pogody" w pojęciu żeglarskim wybraliśmy się z samego rana, aby odwiedzić przystań żeglarską ZWM w Kiekrzu pod Poznaniem.

W przystani widać niezwykły ruch. Okazuje się, że na jutro przewidziane jest zakończenie Ogólno-Polskiego Kursu Żeglarskiego ZWM połączone z egzaminem teoretycznym i praktycznym przed komisją Polskiego Związku Żeglarskiego. Zdanie tego egzaminu decyduje o przyznaniu tytułu sternika śródlądowego. Chłopcy i dziewczęta, uczestnicy kursu w liczbie 70 osób przygotowują się właśnie do próbnej defilady wszystkich jednostek — ostatniego sprawdzianu, zręczności technicznej. Ośrodek żeglarski w Kiekrzu posiada obecnie 11 jednostek żaglowych i jedną wiosłową. Do największych i najnowszych należy jacht typu „Kecz" — jednostka morska, dobry znajomy uczestników Zlotu w Warszawie, zbudowany samodzielnie przez kolegów poznańskich we własnej stoczni. Powierzchnia jego ożaglowania wynosi ponad 30 m². Nieco dalej widzimy kołyszące się na wodzie również duże jachty typu „Lugier" o powierzchni żagla 32 m², lecz bez krytych kabin. 5 jolek regatowych, olimpijka i szalupa wiosłowa uzupełniają widok „floty". Chłopcy więc mają dużo roboty z ożaglowaniem (po żeglarsku „otaklowaniem") wszystkich jednostek. Praca idzie jednak sprawnie, mimo podniecenia przedegzaminowego. Jedni wynoszą płótna żaglowe z szałasu, drudzy kolejno „taklują" statki. Uwijają się zręcznie między linami podtrzymującymi maszty. Ktoś wdrapuje się na maszt — widocznie coś nie jest w porządku. Za chwilę biały żagiel wyraźnie kontrastuje z błękitem nieba. Także „koleżanki po fachu" mają dużo zmartwienia ze swoim statkiem. W jednej z nieożaglowanych jeszcze jolek leży trzech kolegów z książkami w rękach. Ci „kują" teorię na jutrzejszy egzamin. Nie długo cieszą się spokojem, nadchodzi kolej i na nich. Wiatr wzmaga się, kierownik wzywa do pośpiechu.

Nareszcie start. Pierwszy wychodzi z przystani „Kecz" a następnie kolejno według wielkości wszystkie jednostki. Wysmukła olimpijka ze sternikiem kol. Górskim objeżdża formujący się szereg; wydaje on ostatnie instrukcje. Nie należy bowiem do rzeczy łatwych równe prowadzenie statków rozmaitej wielkości. Wkrótce wspaniały sznur białych żagli widzimy na jeziorze. A wiatr wieje i wieje...

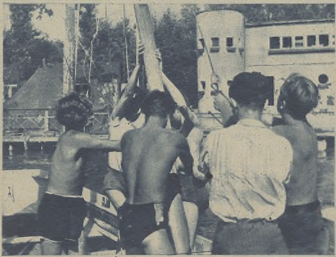
Fotografie autora **J. Jaraczewski**



Niech wicher w żagle dmie...



Jachty odbiły od brzegu



Ustawianie masztu



Nietylko chłopcy mogą stać się „wilkami morskimi"



Żeglarz musi umieć i to...



Żagiel ustawiamy odpowiednio do wiatru przy pomocy liny

Polowanie na znaczki pocztowe

O rzeczach najważniejszych

Czytałem niedawno tajemniczą historię. Ktoś okradł konia z karuzeli. W zmroku nocnym podkradł się do spracowanych szkap z wielkim kluczem do śrub w ręce. Okoliczne drzewa słyszały lekki stuk żelaza o żelazo, a potem stęknięcie i kroki. Konia skradziono. Poco? To właśnie ta tajemnica. Ciekawy jesteś. Powinieneś raczej spytać, Przyjacielu, jak złodzieja wykryto. Otóż przyszedł pewien pan, porzucony przez złodzieja klucz posypał białym proszkiem i sprawa skończona. Domyśliłeś się — odciski palców.

Jak sądzisz, czy tylko złodziej plami, czego dotknie? Więc nie chwytaj nigdy znaczków w palce.



Najważniejszym narzędziem filatelisty jest pincetka. Ma ona łopatkowate końce lekko spłaszczone. Bez jej pomocy nigdy nie będziesz miał ładnych zbiorów. Kupić ją możesz w sklepie, gdzie nabyłeś „pakiety". Przy tej okazji każ sobie pokazać wszystkie gatunki lup do znaczków pocztowych. Poinformuj się o ich cenie i zacznij oszczędzać. Tymczasem zadowolisz się czarną deszczułką lub tekturką, na których będziesz oglądał znaczki. Chciałbym Ci wreszcie pomóc założyć album, ale wpierw zaopatrz się, proszę, w przezroczyste, nagumowane podklejki do znaczków. Kosztują grosze, a bez nich roboty lepiej nie [illegible]

Jak ma wyglądać album ze znaczkami?

Wczoraj widziałem Cię przy pracy nad znaczkami. Tak nie można, Mój Drogi! Oczy trzeba szanować. Nie wolno pracować ani o zmierzchu, ani przy niedostatecznym oświetleniu. Zapal więc lampę stołową i patrz. Oto mój album. Jak widzisz ja sobie sprawiłem album blanco, tzn. o kartkach pokrytych lekką kratką, jednak bez podziału na pola i bez zarysów znaczków. Kartki te wpiąłem do listowego segregatora i zapełniam według własnego uznania. Możesz i Ty nalepiać znaczki na pustych kartkach, pamiętaj jednak o symetrycznym, czystym, estetycznym ich zapełnianiu. Jeśli chcesz, możesz zresztą w ogóle albumu nie zakładać, a znaczki seriami zbierać w kopertach. Koperty tworzą wtedy rodzaj kartoteki.

Najlepiej jest jednak kupić sobie album gotowy. Może on mieć klisze, może też być in blanco. Powinien spełniać dwa warunki: umożliwiać rozszerzenie zbiorów corocznymi nowościami oraz mieć kartki zadrukowane jednostronnie. Dwustronnie znaczków nalepiać nie można, bo przy otwieraniu zaczepiają o siebie i niszczą się.

Widzę, iż bierze Cię ochota stwierdzić jak znaczki są wlepiane. Wkleja się je przy pomocy kupnych, przezroczystych podlepek. Podlepki te są już gumowane. Zginamy je w środku, zwilżamy przy pomocy gąbki lub waty i kładziemy na albumie. Następnie przykładamy do nich znaczki. Zagięcie każdej podlepki powinno być zwrócone ku górnemu brzegowi kartki. W ten sposób uzyskamy jednolity „front".



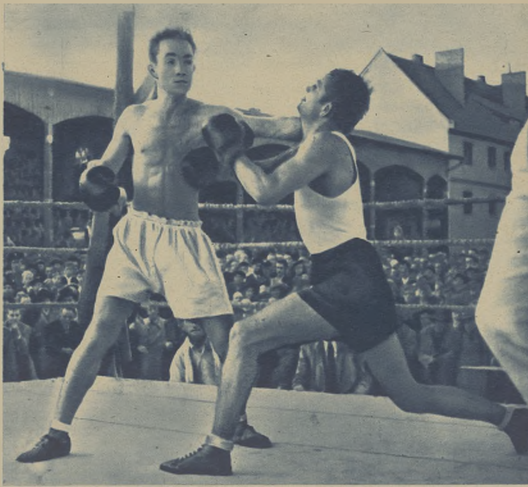
Przy dmuchnięciu na kartę od strony dolnego brzegu powinny wszystkie znaczki lekko się unosić.

Pamiętaj o jednym: album wtedy ma wartość, gdy świeci czystością, pedantycznym uszeregowaniem znaczków, no i oczywiście wartościowym ich doborem.

Stefan Basiński

Czy jesteś spostrzegawczy? Na rysunku znajdują się kontury 18-tu przedmiotów. Spróbuj odnaleźć je





Spotkanie pięściarzy poznańskich KS „Warta" z drużyną węgierską „Vasutasok" na boisku „Warty" w Poznaniu w dniu 15 września br. Wynik 9:7 dla „Warty". Na zdjęciu Koziołek (czarne spodenki) w momencie walki z mistrzem juniorów węgierskich Hontvary (waga piórkowa.) Zwyciężył Koziołek na punkty

Runda – Ring – Gong

Do dnia 8 września roku pańskiego 1946 uważałem siebie za spokojnego, zrównoważonego człowieka o ustabilizowanym życiu i światopoglądzie.

Po pracy, jako jedyną rozrywkę uznawałem szachy no i czasami brydż. Pasjonowały mnie różne debiuty, rozgrywki Alechina, Szcytnowa i innych, no i niezgłębiona mądrość teorii szachowej.

Rankiem owego znamiennego dnia, przychodzi mój przemiły Gucio, stały partner szachowy i z naciskiem przemawia:

— Szachy w kąt, zabieraj się i idziemy na zawody bokserskie Warszawa—Łódź.

Zdziwiony i skonsternowany nagłością i treścią propozycji nieśmiało zapytałem:

— A co tam się robi i co to jest?

— To jest nasz obecny sport narodowy, a co się robi — to zobaczymy na miejscu.

Replika Gucia poparta zaproszeniem i biletem kartonowym do loży, usposobiła mnie do pójścia.

Posadzono nas bardzo uprzejmie vis a vis jakiegoś podniesienia, otoczonego sznurkami.

Rozejrzałem się wśród ludzi i ku swemu zdziwieniu poznałem sporo znajomych, oraz stwierdziłem obecność wielu przystojnych kobiet.

Widoczne wzruszenie i jakieś nerwowe podniecenie, pulsujące na trybunach, zaczęło mnie przyprawiać o nieznany dreszczyk.

Wtem na podniesienie wchodzi szereg malowniczo ubranych chłopców i mężczyzn. Ustawiają się szeregami. Policzyłem — jest szesnastu, liczba figur partii szachowej.

To już usposobiło mnie dobrze. Wszyscy do siebie mile uśmiechali się, otrzymane kwiaty podzielili między sobą. Początek wyraźnie trafia mi do gustu. Na podniesieniu pozostało tylko dwóch drobnych chłopców i — o dziwo — zaczęli nakładać grube, zimowe rękawice w dodatku obszyte skórą — a tu jarzy aż miło. Nieśmiało informuję się sąsiada. Co to za podniesienie, po co rękawice i co oni będą tam robić.

Pełen politowania wzrok poprzedził odpowiedź. To jest ring, zaraz jak uderzy gong rozpocznie się pierwsza runda, a zawodnicy [illegible] rękawice. W tej chwili usłyszałem, jak jeden z siedzących przy stoliku panów obok podniesienia krzyknął „ring wolny" i mocno uderzył w blachę. Zdziwiłem się: jakto wolny, kiedy stało na nim dwóch chłopaków i w tej chwili jeszcze wlazł jakiś obywatel, ubrany dla odmiany na biało.

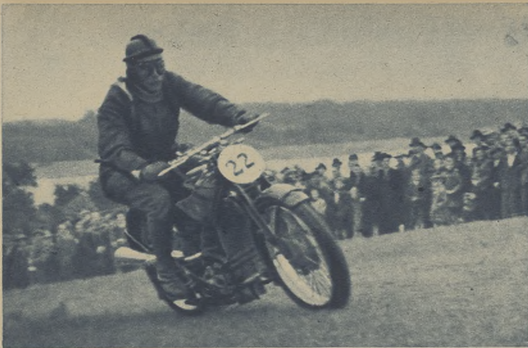
Zdążyłem zapamiętać: ring, runda, gong. To co się zaczęło potem dziać, wprawiło mnie w stan osłupienia, niepoczytalności, byłem jak w malignie. Ci chłopaczkowie, przepraszam — zawodnicy, wersalsko podali sobie urękawiczone ręce i zaczęli okładać się rękawicami, usiłując trafić jeden drugiego w nos.

Publiczność biła brawo, komentarze, okrzyki i dziwne stwierdzenia [illegible].

Sąsiad mój względnie spokojnie zachowujący się, coś jednak ciągle mówił. Wygłaszaną mądrość chciwie chłonąłem nie odrywając wzroku od bijących się. Słyszę: Kamiński dobrze tańczy na nogach. Wzbudziło to mój szacunek dla Kamińskiego, ale i jednocześnie zdumienie. Nie wytrzymałem i znów zapytałem, czy może Kamiński jest z zespołu Parnella i jak w ogóle można tańczyć nie na nogach. [illegible] — gong. Dowiedziałem się, że to znak 60-sekundowej przerwy. Zawodnicy usiedli na krzesłach, a jacyś [illegible], potem dali każdemu pociągnąć „direct" z butelki ale [illegible] jednocześnie to wypluli.



Zakończenie wyścigów motocyklowych o „Złoty Kask". Wiceprezydent m. Poznania ob. Drabowicz wręcza pierwszą nagrodę ob. Nowackiemu z Rawicza, zwycięzcy w kategorii maszyn ponad 350 ccm.



Jerzy Mieloch — zdobywca „Złotego Kasku" na maszynie DKW 350 ccm z kompresorem

Znowu blacha i znowu natarli na siebie. Dobiega głos: „zaraz Kamiński rozgryzie Patorę". Może i ugryzie w trwodze walki, ale dlaczego rozgryzie? Nie kombinuję o co chodzi głosicielowi tej przepowiedni i jak to będzie Kamiński robił.

Niestety — tego nie zobaczyłem, bo walka skończyła się, a areopag sędziowski w osobie pana z trąbą ogłosił: remis.

[illegible] waga [illegible] Sobkowiak — Czarnecki. Na ring wchodzi dwóch normalnych, prawie że małych, ale ładnie zbudowanych mężczyzn. Jak żyję swoich 46 lat nie słyszałem, żeby [illegible] ważyli [illegible] kilogramów.

Walka panów Kogutów była nadzwyczajna, bo Sobkowiak rzeczywiście à la kogut wspaniale doskakiwał do przeciwnika.

Refleksje moje zostały przerwane, usłyszałem powiedzenie sąsiada: „Sobkowiak robi Czarneckiego pojedyńczym kopem". Stwierdzam, że nie tylko zoologię, ale i język polski znam słabo. Nowo słyszana terminologia tak pięknie świadczy o bogactwie naszego języka, giętkości, kolorycie, różnorakim znaczeniu poszczególnych wyrazów. Wyraźnie kształcę się tutaj.

[illegible] Po drugiej stronie ringu, gdzie, jak mi powiedziano, siedzą kibice, łodzianie, rozlega się desperacki okrzyk: „naucz Sobkowiaka pływać". Primo, okrzyk nie na czasie — gdzie Wisła, a gdzie ring. Secundo — jak tu pływać w takich rękawicach, a tertio — w połowie września zapóźno zaczynać lekcje pływania. Chyba to był kompletny laik, większy niż ja. Koguci skończyli.

Tuba krzyczy tryumfalnie: wygrał Sobkowiak. Przestrogi na temat pływania nie zdążyłem udzielić, bo na ringu już nowi dotykają się rękawicami. Zapowiedzi tuby nie zrozumiałem, tylko sąsiad szepnął, że czarny to Czortek, a łodzianin nazywa się Marcinkowski. Nieufnie spojrzałem na czarnego Czortka — powinien wzbudzać niepokój przeciwnika. I rzeczywiście.

Pochylając się to w prawo, to w lewo, to robiąc jakieś esy-floresy tułowiem, groźnie szedł na przeciwnika. Sąsiad zwierza się mi, że „Czortek dobrze wchodzi w Marcinkowskiego". Co to znaczy — nie wiem po dzień dzisiejszy, bo gdy usłyszałem: „Marcinkowski sierpniowym go, on ma szklaną szczękę" [illegible] chyba nie sierpniowym, a wrześniowym! Widzę dobrze, że Czortek ma normalną szczękę i w ogóle szklana może być tylko [illegible] nie szczęka. W odpowiedzi dostałem słowo krótkie i dosadne, ale go nie powtórzę. Walka skończyła się bez czarów i wygrał Czortek.

Następna para była całkiem inna. Łodzianin Woźniakiewicz — to student IV roku weterynarii. Sąsiad mówi, że zna go — jest wybitnie miłym i uprzejmym człowiekiem. Natomiast widzę, że na ringu demonstruje nieokiełzany temperament.

Rozgrzana tempem walki widownia krzyczy: „demoluj go", a sąsiad powtarza raz po raz: „operuj go, operuj go!"

W czym wyrażają się operacyjno-weterynaryjne zdolności Woźniakiewicza — nie zauważyłem, ale posłyszałem: „Kosiński puchnie", więc starałem się dojrzeć awizowaną opuchliznę. Wyraźnie traciłem zdolności pojmowania sytuacji, a czyjś głos: „Morye dyszlem go" — wykończył mnie. Pomyślałem — nie daj Boże.

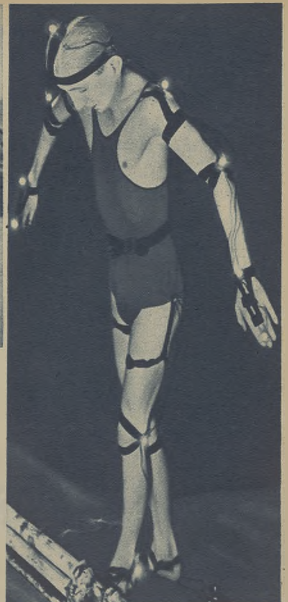
Resztę walk przesiedziałem, jakby mnie ktoś rzeczywiście zoperował dyszlem. Wiem, że coś krzyczałem, biłem brawo, entuzjazmowałem się, cieszyłem się. Gdy obwieszczono, że Warszawa wygrała w [illegible] — [illegible] radosnym [illegible] nie [illegible]

Pobiegłem do szatni, uściskałem wszystkich chłopaków, przekonałem się, że wszyscy zdrowi i cali i [illegible].

[illegible]



Wyścigi motocyklowe o „Złoty Kask". Start.
Foto Kitzman



NAUKA I SPORT

Sowiecki Instytut Naukowo-Badawczy doktora biologii Farfela zajmuje się m. in. badaniem ruchów ciała czołowych sportsmenów i procesów nerwowo-mięśniowych podczas treningu, zgłębia tajemnice ich mistrzowskich osiągnięć. Opierając się na wynikach tych badań — szkoli z kolei nowe zastępy mistrzów. Wielu czołowych sportsmenów radzieckich zawdzięcza temu Instytutowi swoje rekordy.

Dr Farfel wydał już wielkie dzieło naukowe, poświęcone pracy badawczej i eksperymentom w tej dziedzinie. Stworzył również własną teorię ćwiczenia wytrzymałości ciała. Podobne prace prowadzone są przez uczonych angielskich.

Na zdjęciu — mistrz Związku Radzieckiego w pływaniu — L. Mieszkow, ubrany w specjalny „garnitur" żarówek elektrycznych, ułatwiających dokonanie zdjęć ruchów jego ciała w wodzie. Można sfilmować w ten sposób ruchy każdej części ciała oddzielnie, co ułatwia usunięcie przeszkód natury fizjologicznej, utrudniających osiągnięcie doskonalszych wyników.



Wychodzi dwa razy w miesiącu

REDAGUJE ZESPÓŁ. WYDAWCA: SPÓŁDZ. WYD. „PŁOMIENIK" * REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, DWORKOWA 2. TEL. 6-81-16 EKSPEDYCJA: POZNAŃ, ARMII CZERWONEJ 1. — TELEFON 37-35. PRENUMERATA KWARTALNA — 60 ZŁ Z PRZESYŁKĄ DO DOMU. PRENUMERATĘ WPŁACAĆ NA KONTO PKO NR I 42-52 W WARSZAWIE.

[illegible] 6775 [illegible]


Warszawa - Łazienki